Nr. 18. 3. Lipca 1860.

KÓŁKO RODZINNE

Wychodzi we Lwowie w dwóch arkuszach co Wtorek. Prenumerata: z przesyłką pocztową całorocz. 10 zł., półr. 5 zł., kwart. 2½ zł. We Lwowie całorocz. 9 zł., półr. 4½ zł., kwart. 2¼ zł., miesięczn. 75 ct. w.a.

Miejscową prenumeratę przyjmuje księgarnia Wilda tudzież inseraty po 8 ct. od wiersza za pierwszorazowe umieszczenie, za następne po 4 ct. z dołączeniem stemplowego po 30 ct. Biuro redakcyi: ulica halicka Nr. 157¼.

TOWARZYSTWO NAUKOWE KRAKOWSKIE.

III.

Pogrobowy dziedzic puścizny Jagiellońskiej.

Dwa wielkie lata, które wkrótce po sobie przegrzmiały nad stolicą Piastów i Jagiellonów, wstrzęsły szkołą jagiellońską i nieoddzielnem od niej towarzystwem naukowem.

Rok 1846 i 1848, dwa lata pełne znaczenia w życiu Narodu i przedzielający je rok żałoby 1847, były jakoby powtórzeniem trzech wielkich dni, któremi świat chrześciański święci pamięć śmierci i zmartwychwstania Zbawiciela.

Rok 1846, który zapisał krwawemi głoskami Kraków i naszą krainę w dziejach Europy, był jakoby dniem konania narodowości: wszystkie jej tchnienia zostały zaparte. W Towarzystwie naukowem było takiem tchnieniem żywotnem wydawanie rocznika, które ustało w r. 1846. Upadek Rzeczypospolitej Krakowskiej był ostatniem tchnieniem narodowości; naruszenie traktatów »świętego przymierza« było rozdarciem zasłony w bóżnicy.

Po złożeniu do grobu tych ostatnich szczątków dawnej wielkiej Rptej., nastąpił rok żałoby, a był to rok właśnie dopełniający 500 lat istnienia szkoły Jagiellońskiej (założonej w r. 1347 według wówczas przeważającego między uczonymi mniemania.)

Rok 1848 był jak dzień zmartwychwstania, radosną, krótkotrwałą chwilą przemiany, zwiastującą żywot nowy wskrzeszonemu duchowi Narodu, a chociaż nastąpiły smutne po tem chwile, toć wierzmy że od onego czasu duch ten należy do wniebowziętych, w szczególnej pieczy u Boga zostających, wierzmy że tu się stosują słowa Chrystusa rzeczone do uczniów: Na świecie ucisk mieć będziecie; ale ufajcie, jam zwyciężył świat (Jan XVI, 33.)

Rok ten, chociaż w pędzie wirowym poruszając Europę załamował na chwilę czynności Towarzystwa, wpłynął na nie przecież ku większemu ożywieniu i zbawienniejszej reorganizacyi. Że towarzystwo pojmowało swoje zadanie najświętsze i największe: piastowania oświaty narodowej; że tej myśli nie wypowiedziało nigdy wybitnie i niedoprowadziło do czynu tylko z powodu ucisku, jaki na niem ciężył przez lat tyle: temu wierzyć musimy bacząc na pierwsze kroki uczynione gdy pęta jego zwolnione zostały.

Spojrzyjmy jak się cechuje postęp Towarzystwa w oznaczeniu swego celu. Przy pierwszem zawiązaniu się musiało jego czynnością być: »krzewienie wiadomości w zakresie wszelkich nauk i sztuk... Działanie jego miało być raczej zachowawcze niż nowobudujące, opiekuńcze bardziej niż samodzielne, celem jego było: »mieć w szczególnej pieczy zabytki historyi i postęp piśmiennictwa krajowego, tudzież przechowywanie pamięci mężów zasłużonych w naukach, i członków Towarzystwa.«

Było to już wielkiem i śmiałem jak naówczas zadaniem, bo ci właśnie, którzy się ogłosili restauratorami wszelkich dawnych praw, wskrzesicielami obalonych potęg, ci właśnie byli burzycielami najświętszych praw Narodu i niszczyli wszelkie zabytki jego potęgi, nawet pamięć jego była im nieznośną, jako wieczny wyrzut sumienia. Więc już samo zachowanie pamięci i szanowanie zabytków było wtedy walką, walką cichą a potężną podobną do walki jaką toczyli pierwsi chrześcianie chowając zmarłych wiernych po katakombach ku wieczystemu świadectwu wiary w zmartwychwstanie.

Później w roku 1840 określono tylko bliżej ten cel żądając od członków by pisali rozprawy i dzieła dla kraju użyteczne i potrzebne. W r. 1841 wzniosło się nawet Towarzystwo do jasnego pojęcia swego posłannictwa: „pomnąc na główne powołanie, (są piękne słowa ówczesnego prezesa) szerzenia wszelkiemi drogami światła prawdziwej nauki i żaru obyczajności, w przekonaniu oraz, że te najżywiej chwytają się surowych jeszcze umysłów pospolitego ludu i najczyściej odbić się mogą w nieskażonem ognisku dziecinnej duszy, gdzie po rodzicach szkoły elementarne pierwsze rzucają promienie, przejęte więc tych szkółek głębszą nad pospolite mniemanie ważnością, i oceniając z wyższego stanowiska książki do nauki w nich używane, uchwaliło Towarzystwo oddać dar Tyszkowskiego *) za nagrodę temu, ktoby napisał dziełko stosowne dla naszych miejskich i wiejskich początkowych szkółek, stanowiące niejako bibliotekę naukową dla uczniów i nauczycieli.“

Krokiem tym na pozór nie wiele znaczącym, a nawet, według mniemania niektórych, niegodnym aka-

*) Paweł Tyszkowski, obywatel z Galicyi, ofiarował 60 czer. złotych celem użycia ich za nagrodę autorowi rozprawy przez Towarzystwo w przedmiocie rzeczy narodowych ogłoszonej, i przez nie za najlepsze uznanej.

demii nauk, mogło Towarzystwo rozpocząć wielki pochód do świętego przeznaczenia swego: stać się wskrzesicielem ducha narodowego. Wyznaczenie nagrody za książkę było tylko bardzo małym początkiem ku temu, ale i ten mały początek spełzł na niczem.

Dopiero w roku 1848 określiło Towarzystwo już w odnowionej ustawie swojej cel swój dokładnie: „przyczyniać się do postępu wiadomości w obrębie wszelkich nauk, umiejętności i sztuk; wpływać na rozszerzenie i upowszechnianie oświaty w kraju". Nie ograniczyło się Towarzystwo na orzeczeniu zasady. Podzieliło się na wydział ściśle naukowy, czyli akademiczny, i wydział rozszerzania oświaty. Wydziałom tym naznaczono zadania ściśle określone. Wydział akademiczny podzieliwszy się wedle gałęzi nauk, na oddziały umiejętności: 1) moralnych, 2) nauk przyrodniczych i ścisłych, 3) sztuk i archeologii; obrał sobie zadanie s a m o d z i e l n e g o działania w rozwoju nauk, przedsięwziął sam być t w ó r c ą, nie przechowywaczem tylko i rozszerzaczem. To tak ważne zadanie było uzupełnieniem dawniejszego, bardziej biernego zadania przechowywaczy i zbieraczy; przyczynił wydział akademiczny jeszcze do tego „wspieranie innych w usiłowaniach tego samego rodzaju". Taka zmiana była godną piastuna puścizny jagiellońskiej.

Drugi wydział, nierównie ważniejszy pod względem donośności swego celu dla ogółu narodu, jest jawnym dowodem iż Towarzystwo pojęło swoje wielkie zadanie. Sprostać temu zadaniu nie dozwoliła nowo wszczęta walka żywiołów nieprzyjaźnych duchowi narodowemu.

Zakreśliwszy sobie dwa tak wielkie cele, mogło Towarzystwo połączone z jagiellońskim uniwersytetem stać się rzeczywiście godnym dziedzicem puścizny, przekazanej naszemu wiekowi z olbrzymiej peryody Piastów i Jagiellonów.

Małe i znikome niemal muszą się wydawać w porównaniu z tą peryodą usiłowania Towarzystwa, i osiągnione przezto korzyści dla ogółu; a serce boleje nad tem, że chęci tak piękne muszą marnieć w wykonaniu w obec nieprzyjaźnych im potęg. W jakimże stoi stosunku wydanie kilku dzieł naukowych (K r e m e r a filozofia, C z e r w i a k o w s k i e g o botanika, M a ł e c k i e g o filologia klasyczna, S t e c z k o w s k i e g o matematyka i S k o b l a farmakologiczne dzieła) do jednego z najważniejszych zamiarów Towarzystwa: wydania B i b l i o t e k i n a u k o w e j tj. całego zbioru dzieł naukowych dla uniwersytetu i wyższych szkół by otworzyć naszej młodzieży skarby nauki, jakie zdobyła praca uczonego świata całej Europy, i uczynić je przystępnemi dla naszego narodu bez pomocy obcych literatur? Jakże dalekie znowu to gladiatorskie pasowanie się z przemagającą nas obcą naukowością i literaturą, od owego władztwa naukowego jagiellońskiej szkoły na całą niegdyś Europę. Płacz duchu Kazimierza i Jadwigi nad ubóstwem dziedziców waszej puścizny! A jednak, nie było to usiłowanie wyzwolenia nas z tułactwa po obcych dziedzinach nauki i piśmiennictwa niegodnem takich dziedziców dziełem, choć małem i znikomem w porównaniu ze świetną przeszłością tej puścizny. System wynarodowienia przeprowadzany w szkołach udaremnił te usiłowania. Klęska materyalna jakiej doznało Towarzystwo przez pożar Krakowa w r. 1850, w którym zgorzały niektóre nakłady dzieł przeznaczonych do tej biblioteki, byłaby się stokrotnie wynadgrodziła, gdyby szkół naszych nie była dotknęła klęska duchowa zobczenia. Byłaby powstała potrzeba dzieł takich, a potrzeba rodzi środki.

Przedsięwzięcie to miało p r z y s z ł o ś ć na względzie. Wznieść pomnik piśmienniczy p r z e s z ł o ś c i było bliźniem tamtemu zadaniem, z którego się Towarzystwo wywiązać chciało wydawaniem zbioru „Zabytków z dziejów, oświaty i sztuk pięknych". Przechowywanie pamiątek niepiśmienniczych, owych martwych świadków przeszłości, ale wymownych dla badacza, który rozumie głuchą mowę pomników, w m u z e u m a r c h e o l o g i c z n e m, byłoby drugą połową owego zadania. Tego rodzaju przedsięwzięcia są to iskry z wielkiego ogniska życia narodowego, lecz godzi się żywić ogień w iskrach, gdy go w ognisku zgasić usiłują. Nie poprzestawało zresztą na tem Towarzystwo i jego wydział akademiczny kusząc się jeszcze o inne dzieła nie małej wagi dla nauki i piśmiennictwa ojczystego.

Dla drugiego najgłówniejszego celu swego: r o z s z e r z a n i a o ś w i a t y między ludem, miało Towarzystwo więcej chęci niż możności działania. Przeszkody jakie mu w tem stawiano są rękojmią ważności celu. Zamiary wydziału r o z s z e r z a n i a o ś w i a t y były w obec nieprzyjaźnych mu potęg tak skromne, iż ten się nastręczał ku służbie tam, gdzie miał wszelkie prawo postępować samodzielnie. Pomijamy, że Towarzystwo naukowe było organem uniwersytetu, naczelnej szkoły, a stanowiło z nią razem stolicę oświaty narodowej. Były to dwie instytucye które w innych krajach dzierżą zwierzchnictwo nad wszelkiemi zakładami naukowemi, szkołami i t. d. słowem, którym przysłuża kierunek oświaty. W tej myśli był zorganizowany Uniwersytet krakowski i położony fundament do Towarzystwa naukowego przez ks. Józefa Poniatowskiego, jako wykonawcy woli Napoleona I. Czy nie miał Uniwersytet i połączone Towarzystwo prawa: z a k ł a d a n i a szkółek i d o z o r o w a n i a ich, k i e r o w a n i a stowarzyszeniami oświatę ludu na celu mającemi u s u w a n i a braków i zaprowadzania ulepszeń w naukowych zakładach s a m o d z i e l n i e i t. p.? A przecież Towarzystwo ofiarowało się tylko »d o p o m a g a ć właściwym władzom w dozorze szkółek początkowych; w p ł y w a ć r a d ą i p o m o c ą na utrzymanie naukowego kierunku innych stowarzyszeń oświatę ludu na celu mających; p r z e d s t a w i a ć właściwym władzom dostrzeżone braki i projekta ulepszeń w naukowych zakładach; z a c h ę c a ć i d o p o m a g a ć własnym funduszem do zakładania szkółek początkowych, pisać i ogłaszać dzieła elementarne; tłumaczyć i przedrukowywać dzieła ku rozkrzewieniu oświaty przydać się mogące; zachęcać do tej pracy

przez ogłaszanie nagród; wspierać szkółki początkowe przez rozsełanie książek i pism odpowiedniej treści».

Towarzystwo wymagało mniej niż miało prawo wymagać, a jednak i temu zadość nie uczyniono.

Cóż tu wzbudzało niechęć, albo nieufność? Oto dwa wyrazy: o ś w i a t a i l u d. Ster oświaty w ręku ojców, którzy swym dzieciom chcą ułatwić przystęp do skarbów nauki, zdobywszy je sami wielkim znojem i trudem: w ręku synów ludu którzy chcą dla młodszej braci utorować drogę na której sami stąpali po cierniach i głogach; ster oświaty w ręku miłujących Ojczyznę i lud, którzy chcieli użyć słowa jako tej stali, co ma wskrzeszać w sercach ludu iskrę miłości, — to było solą w oku burzycieli. Tak, ta miłość wadziła, bo ona jest zaklęciem Stanisławowem co wskrzesi ducha Piotrowina z grobu serc ludu.

Miłości zwalczyć nie można, znana to gadka o sercu które niesłucha rozkazów; oświaty zamknąć nie można, jak wedle również znanej gadki jedwabnikowi prząść nie zakażesz. Więc trzeba chyba zniszczyć naczynie tej miłości, która wysnuwa z siebie promienną nić oświaty by nią oprząść cały Naród — rozbić to serce, a szczątki rzucić na pastwę drapieżcom. Lecz tu następuje proste zastanowienie: te szczątki byłyby jak owe krople krwi Uranusa które Ziemia wsiąkła w siebie by urodzić — Gigantów. Więc inny sposób: ujmować mu zwolna, po trosze, pod pozorem opieki i dobrej woli, żywotnych soków, ujmować krwi którą tętni, i zastępować przyrodzony zasiłek surogatem obczyzny. Organizm tak zatruty zwalnia z początku przyrodzone ruchy w swych tętnicach, słabnieje i zda się blizkim konania, nareszcie zadrgnie chorobliwem życiem i póki nie zdoła wydzielić z siebie trucizny, póty liczy chwile życia podwójnem biciem serca. Tak było z instytucyami o których mówimy.

Uniwersytet Jagielloński, a wraz z nim Towarzystwo naukowe przyozdobiło się było w krótkiej chwili odrodzenia się w r. 1848 najświetniejszemi imionami piśmiennictwa naszego. Pod tym i 1849ym rokiem znajdujemy dopiero w gronie członków Towarzystwa: Bielowskiego Augusta, Borkowskiego Leszka, Cieszkowskiego Aug., Cybulskiego Wojciecha, Gorczyńskiego Adama, Kazimirskiego, Korzeniowskiego Józ. (powieściopisarza), Krasińskich Waleryana i Zygmunta, Kraszewskiego Ig. Józ., Libella Karola, Malinowskiego Mikołaja, Mickiewicza Adama, Moraczewskiego Jędrzeja, Oczapowskiego Mich., Pola Wincentego, Potockiego Tomasza, Siemieńskiego Lucyana, Trentowskiego Bron., Wężyka Franc., Wójcickiego Kaź. Wład., Wołowskiego Ludwika. Wyborem tych wszystkich w jednym roku spłaciło Towarzystwo dług winny naukowości i piśmiennictwu polskiemu oddawna, z którego uiścić się przedtem nieprzyjaźne okoliczności nie dozwalały, zmuszając raczej zamieszczać na listach członków imiona Nowosilcowa, Metternicha i wszystkich nieledwie rezydentów i wysłanników opiekuńczych dworów. Odtąd już niemasz prawie znakomitszego imienia w piśmiennictwie naszem, któregoby Towarzystwo nie zaliczyło do grona członków.

Była zresztą i chwila, gdzie na katedry uniwersytetu powoływano nasze znakomitości naukowe, które zajęły godne miejsce obok już wsławionych dawnych piastunów puścizny jagiellońskiej. Słuchał uniwersytet jagielloński przez czas niedługi wykładów Helcla, Małeckiego, Pola, Zielenackiego i innych powołanych dla pomnożenia grona przewodników w nauce.

Lecz zwolna zaczęło się zaludniać to grono innymi wysłannikami, których imiona obce są naszemu piśmiennictwu, o ściany jagiellońskie zaczęły się coraz gęściej odbijać brzmienia mowy nie słyszanej tam od 500 lat. Imiona niektórych znakomitości naukowych zgasły ex albo universitatis, aż nareszcie przyszło do tego, że wkroczywszy w ten święty pięciowiekowy przybytek nauki polskiej, nadaremnie wytężasz zdziwiony słuch, by w najważniejszych umiejętnościach zasłyszeć polskie słowo.

Jagiellońska szkoła najgłówniej niegdyś słynąca naukami stanu i przyrody, jest dziś, szczególnie co do nauk stanu, obcą narodowi. Pogrzebano ją i jest ona, jak owe miasta w pobliżu ogniem ziejących gór, przysypane popiołem i wyrzuconym z wnętrzności ziemi kruszcem, żywcem zasklepionym świadkiem stłumionego życia.

Równocześnie ustało życie Towarzystwa naukowego, uniwersytet jagielloński przestał być jagiellońskim, bo stracił swoją samoistność i swojskość. Towarzystwo naukowe pogrążone w letargu czekało zatwierdzenia swoich statutów, które według nowej ustawy o stowarzyszeniach musiało przedłożyć rządowi.

Po trzech latach letargicznego uspienia padł nareszcie wyrok: rozdarcia jagiellońskiej puścizny. Przy uniwersytecie, którego życie tętni obcemi sokami, nie mogło żyć Towarzystwo, które aby istnieć, musi swojskiemi, rodzimemi ożywiać się sokami; na zobczałym szczepie zginęłaby ta latorośl. Połączenie to mogłoby się skończyć zupełnem zabójstwem jagiellońskiego dziedzica, a krew jego użyźniłaby tylko ojczystą ziemię ku wydaniu plemienia gigantów-mścicieli. Tego uniknięto zaszczepiając w nim podwójne życie. Podwójnem biciem serca znamionuje się życie tego niemocą zdjętego organizmu naukowego, dopóki nie pozbędzie się zarodów martwoty, któremi jest zatruty; jedno tętni w żywcem pogrzebanej matce, drugie w pogrobowym jej następcy: T o w a r z y s t w i e n a u k o w e m.

Osierocony dziedzic przeląkł się swego tułactwa i zajął się przedewszystkiem staraniem o własny dóm. Czy staranie to było na czasie, czy bojaźń ta na miejscu, czy nie lepiej było zresztą popędowi ofiar na ten cel ochoczo niesionych nadać zwrot skuteczniejszy, zadowolnić się szczuplejszym może a tańszym przybytkiem, by obok tego poświęcić się dokonaniu inszych odziedziczonych po dawnem towarzystwie zadań? Za późno dziś rozprawiać o tem w obec tak daleko już doprowadzonego przedsięwzięcia, że tylko nie wielkiemi jeszcze datkami można go dokonać zupełnie. Nie po-

zostaje nic innego w tej mierze, jak odezwać się do ziomków, by nie dali popaść w gruzy niedokończonemu jeszcze domowi i poświęcić słowo podzięki sędziwemu jego założycielowi Franc. Wężykowi.

Z większą nierównie radością i z większym udziałem niż zbudowanie przytułku dla Towarzystwa, powitaliśmy w głosie nowo-obranego prezesa Józefa Majera wskazanie głównych zadań Towarzystwa, z czego widzimy że w niem się odradza w całej zupełności dawny wydział akademiczny. Wydawanie rocznika, zamiar wydawania biblioteki naukowej o której chlubnem rozpoczęciu mówiliśmy wyżej, i wznowienie wszelkich już dawniej przyjętych celów, jest rękojmią że Towarzystwo zabierze się, nie ulęknione tylokrotnem udaremnianiem tej sizyfowej pracy, odbudowaniem, nieskończenie ważniejszej niż przybytek dla Towarzystwa, skarbnicy nauk dla Narodu.

Niemoże to dziś być udaremnionem inaczej jak tylko obojętnością ogółu.

Nie obawiamy się o istnienie Towarzystwa, bo zdaje nam się, że zdrowsze dziś zapanowały zasady między tymi, którzy w tłumieniu życia Towarzystwa naukowego upatrywali rękojmię swego bezpieczeństwa i zapewnienie swej władzy. Obyż jeszcze uznano wolny rozwój oświaty rodzimej jako żywioł duchowi równie potrzebny, jak ciału jest potrzebne światło słoneczne i oddychanie powietrzem! Dziwimy się że Towarzystwo zostało pozbawione drugiej połowy swego świetnego zadania: rozszerzania oświaty między ludem. Dziwimy się, bo sądziliśmy że w tym względzie zwyciężyła roztropność nad przesądną nienawiścią, nad trwogą, przed tem, co tylko uszlachetnia, uszlachetnia, uzacnia: przed oświatą ludu kierowaną przez krajowców.

Tem większy zaciężył przezto obowiązek na całem obywatelstwie. Co Towarzystwu odjęto, tego obywatelstwo winno być piastunem. Wspieranie jednomyślne Towarzystwa datkiem i pracą w jego naukowych celach, jest jednym z najważniejszych obowiązków obywatelstwa; zastąpienie go w zadaniu szerzenia oświaty między ludem, jest drugim wielkim obowiązkiem. Nie trzeba Towarzystw na to co jest w mocy każdego prawego obywatela, trzeba na to serc miłujących dobro ogólne. Czy serca te mamy, to czyny okażą. Jeżeli godnie temu zadaniu odpowiemy, stanie się cały Naród piastunem i dziedzicem puściny Piastów i Jagiellonów.

K. Widman.

FAŁSZYWY KRÓL.

Zdarzenie sekretne JMPana Marcina Wilgi.

(Dokończenie.)

III.

Telegrafy są wynalazkiem naszych czasów. Sądzić jednak wypada, że i dawniej po dworach praktykowany był jakiś sposób porozumienia się, niemniej zagadkowy, jak dzisiejsza iskra elektryczna. W kilka minut bowiem po przejażdżce króla Jegomości, szedł mostową ulicą dworzanin królewski Korticzelli szukając gospody Rożynka. Dowiedział się już od szambelana Komorowskiego, że król przejeżdżając przez ulicę mostową, ujrzał tamże jakąś młodą Litwinkę, i o jej ładnej twarzyczce kilka pochlebnych słów księciu C*** do ucha powiedział. Sprawny Włoch pomyślał chwilę, roześmiał się i wybiegł na ulicę.

Wilga i Michna kończyli trzecią flaszę i właśnie na zepsute czasy najgłośniej narzekali, gdy się drzwi otworzyły, a do izdebki wszedł dworzanin królewski. Dorota wzięła właśnie na siebie czarny kaftaniczek z czerwoną lamówką, i przeglądała się do kawałka stłuczonego zwierciadła, które na ścianie wisiało. Uśmiechając się wdzięcznie mówiła do siebie w duchu: „Jak mi do twarzy, aż miło!“

Usłyszawszy że drzwi skrzypnęły, obróciła się nagle i zapłonęła cała, jakby ją kto na złym uczynku był schwycił. I czemprędzej, przypomniawszy sobie receptę wujaszka, poddała się w opiekę ś. Antoniego, patrona dobrej opinii.

Korticzelli stał chwilę przy progu i ani słowa nie wyrzekł. Widok Doroty prawie go oczarował. Doświadczony Włoch, który wszystkie piękności Warszawy znał na palcach, szepnął w duchu, że w tym rodzaju pięknej dziewicy jeszcze mu się nie zdarzyło obaczyć. I kto wie, jakby długo był stał przy progu, gdyby go pan Wilga nie był zaraz z góry nabrał:

— He! Czego Waszmość chcesz? Może Waszmość zbłądziłeś, to podle, podle proszę — drugie drzwi....

— Wcale nie zbłądziłem, odparł dworzanin z słodkim ukłonem, chciałem tylko poznać JMPana Wilgę, niegdyś towarzysza....

— A, to co innego! to siadaj Waszmość, powiedz mi najprzód, czem się pieczętujesz.... albo i tego nie trzeba, bo dzisiaj szlachectwo u was tandetne! Ale wypijesz Waść szklankę miodku?

— Jestem szlachcic włoskiego pochodzenia....

— Daj Waszmość temu pokój! wszystko śmiecie z Włoch do nas się garnie, ot siadaj przy nas i gadaj co chcesz.

— Jestem dworzaninem najmiłościwiej nam panującego króla....

— I to nie rekomendacya panie Włochu, zawołał Wilga miodkiem podochocony, lepiej powiedz mi: Jestem poczciw człowiek i przychodzę z Marcinem Wilgą wypić szklankę miodku i trochę pogwarzyć. Ot siadaj!

Włoch spojrzal po kątach izdebki, ale prócz czarnych oczek Dorotki i grubej na stole leżącej maczugi nic więcej nie ujrzał, coby mu jego zamiary ułatwić mogło. Ale ani oczka Dorotki, ani gruba maczuga nie stosowały się jakoś do jego zamiarów. Zebrawszy się jednak na odwagę, siadł na stołku koło pana Marcina i począł mówić w tym sensie, jakoby król Jegomość, łaskaw zawsze na zasłużoną rzeczypospolitej szlachtę, dowiadywał się o tych, którzyby najbliższe

mieli prawo do jego łaskawego serca. Zmierzył przytem prawe ramię pana Marcina i rzekł:

— Przecież Wasze nie byłeś u konfederatów?

— Nie, odpowiedział Wilga, *mea culpa*, nie mogłem im służyć. Tarłowczyk odjął mi rękę tak sprawnie jak cerulik. Zresztą nie wiem, na co to Waści się przyda wiedzieć z kim lub za kim ja trzymam. Trzymam z Bogiem i Rzecząpospolitą a kto przeciw nim, ten nieprzyjaciel. Starostw nie potrzebuję, mam kawałek chleba. Nie mnie kaptować, panie Włochu i kwita. *In vino veritas.* Chciałeś prawdy, to ją słyszysz.

Rzekłszy to rzucił pan Wilga do koła bystrem okiem, a Włochowi zdawało się, że z jakąś dziwną rozkoszą spoczął na maczudze, co na stole leżała. Nieprzyjemny dreszcz przeszedł mu po ciele, począwszy od grzbietu aż do wielkiego palca prawej nogi. Wstał i pożegnał szlachcica, wynurzając największą dla niego estymę i ukłoniwszy się grzecznie czarnookiej Litwince.

— Tfu Mospanie! krzyknął Michna, gdy się drzwi za Włochem zamknęły, do dyabła się to Włoszysko tutaj przywałęsało.

— To jakaś intryga być musi, zakonkludował po niejakim czasie Wilga.

— Tak się mi przykro zrobiło, gdy wszedł, dodała Dorota, a takie świdrujące ma oczy!....

Tymczasem wybiegł Korticzelli na ulicę, a zastanowiwszy się chwilę, zawrócił boczną uliczką na odległe przedmieście Warszawy.

Tuż ponad samym brzegiem Wisły ciągnie się szereg ładnych domków, z poza których wyglądają wierzchołki drzew ogrodowych. Do jednego z tych domków wszedł Korticzelli, a zostawiwszy wchód do pokoi na boku, zbiegł po kamiennych schodkach do ogrodu, po którym rozlegała się woń kwiatów, jaśniejących barwą majową. Ciemny lipowy szpaler prowadził do milutkiego pawilonu, którego okna wychodziły na Wisłę.

Z lekka otworzył drzwi. Pokój do którego wszedł, wyglądał jak świątynia sztuki. Na ścianach wisiały rozpoczęte i na pół wykonane obrazy, tu kilka śmiałych pociągów pędzla tworzyły coś niewyraźnego, tam patrzała twarz przezroczystej Najady z pośród nałożonego tła, jak cudne na pół przerwane marzenia młodej dziewicy. Widać, że duch artysty przeleciał ponad jakiś cudny, rajski ogród, wykradł z niego kilka ócz, kilka ramion wypieszczonych i złożył tutaj na płótnie jako pamiątkę tego, co było najpiękniejsze.

Przed sztelażą z paletą w ręku siedział młody mężczyzna. Obok niego stał drugi w stroju francuzkim i patrzał w rozpoczęty portret Wojewodziny S***, którą artysta ubierał właśnie w jakieś fantastyczne szaty Rusałki.

Czy znaliście Bacciarellego? Zapewne, widzieliście go, gdy był dziekanem szkoły rysunkowej. Wtedy był on stary, zgarbiony, nosił siwą perukę, długi granatowy surdut o jasnych guzikach, białe pończochy i złote knafliki u trzewików. Gderał wiele, mruczał pod nosem i nie rad o dziełach swoich rozmawiał. Ale w owym czasie, gdy do niego wszedł Korticzelli, był on w sile wieku, z błyszczącem okiem, twarz miał pełną ruchu i ognia. Zapalał się, gdy mówił, a gdy siedział z paletą w ręku przed płótnem, mógłbyś i strzelać, to cię nie słyszał.

Stojący obok niego mężczyzna był młodzieńcem prawie i zaledwie mógł liczyć lat dwadzieścia. Bladej, smagławej twarzy, zarywał coś na temperament gorący, i tylko wykwintną francuzką ogładą okrywał szalone namiętności, które w jego duszy wrzały.

Pawilon ten nad brzegiem Wisły była to jedna z ustronnych pracowni Bacciarelego, które tyle mieściły w sobie tajemnic dworskich. Wiadoma bowiem była skłonność Stanisława Augusta do uwielbiania wdzięków kobiecych. Artysta umiał tej skłonności zadość uczynić. Wszystkie najpiękniejsze twarze kobiet warszawskich przechodziły tutaj na płótno, zkąd później w odmiennych, fantastycznych szatach szły jako Najady i Rusałki na pułapy sal pałacowych. Sale łazienek zostaną pod tym względem historyczną pamiątką owych czasów, a niejeden późniejszy powieściopisarz, wprowadzając w powieść żyjące za owych czasów kobiety, może je snadno odszukać na pułapach w fantastycznem przebraniu nimf i rusałek. Najznakomitsze damy dostarczały modelów, a rozmiłowany w pięknych sztukach Stanisław August, patrząc na ściany pałacu, słodził sobie przykre chwile nie jednem wspomnieniem upłynionego szczęścia. Złośliwi ludzie, na których i wtedy nie zbywało, widzieli nawet w tem przenoszeniu ideałów z serca na ścianę pewne znaczenie, a „przejść na mur“ znaczyło to samo, co popaść w niełaskę. Ale nie wszystko prawda, co ludzie mówią, a dowodem tego będzie właśnie obraz pięknej Litwinki, która z pierwszej ręki na ścianę przejść miała.

— A cóż cię tu sprowadza, czarny duchu Dantego? zapytał dwudziestoletni młodzieniec z poufałością.

— Będzie nas trzech, odparł Korticzelli, *tres faciunt collegium.* A właśnie idzie mi o naradę.

— Ciekaw jestem, jakiej to rady może potrzebować Korticzelli?

— Nie mamy sobie nic do zarzucenia. Artysta, poeta i.... i....

— I.... i.... pochwycił Węgierski, i ten, co stojąc po za kulisami dworu może wraz z nami powiedzieć kiedyś: *finita comedia vitæ.*

— Jakto? zapytał malarz.

— Ach rzecz prosta, odparł młody poeta bogaty już, jak się zdaje, w doświadczenia, rzecz prosta: malarz, poeta i dworzanin królewski przypatrują się z blizka temu, co dla gminu tyle ma uroku! Malarz wie, że te piękne, cudze kształty można do złudzenia oddać na płótnie blejwasem i różem — poeta zaglądając do serc, prawi o skarbach, których tam wcale nie widzi, a ty.... ty Korticzelli patrząc na to, gdy królowi brodę golą, nie pomyślisz sobie kiedy: *cette comedie quand finira-t-elle?....*

Złośliwy uśmiech przebiegł po twarzy poety. Ale wnet rozweseliło się jego oko, rozśmiał się głośno, a uderzając Włocha po ramieniu, rzekł do niego:

— No mówże, z czem przychodzisz?

Korticzelli wymalował im żywemi farbami wdzięki prześlicznej Litwinki. Mówił wiele o czarnych oczach, jakichby każda Rzymianka pozazdrościć mogła, o giętkiej, kształtnej kibici, której ruchy najwyraźniej rysowały się przez miękką, fantastyczną odzież, i prześlicznych ustach, stulonych jak dwa różowe obłoczki, ukrywające przed rankiem jasność wschodzącego słońca. Przysięgał *per Dio i per Baccho*, że jeśli kiedykolwiek ognista wyobraźnia artysty mogła schwycić czarujące rysy leśnej Rusałki, to Rusałka z borów litewskich, mieszkająca w gospodzie Rożynka, prześcignie najśmielsze marzenia. Mówił, że król Jegomość sam czuł się ugodzony strzałą Kupidyna i zapewne gniewał się w duchu, że nie jest pasterzem w borach litewskich, chociażby przyszło mu zginąć śmiercią Akteona. W końcu wspomniał o rozkosznej surpryzie króla, jakąby miał z powodu widoku pięknej Litwinki, oddanej z wszystkiemi swemi wdziękami na płótnie.

Gdy się entuzyazm Włocha wyczerpał, odłożył Bacciarelli pędzle i paletę, a namyśliwszy się chwilę, rzekł:

— Gdzieżby ją można widzieć?

— Nie, nie, odpowiedział Korticzelli, to nic, widzieć ją raz lub dwa i malować z pamięci. To nie jest twarz z marmuru, jak twoja Wojewodzina, ale tam gra życie, bije krew i w jednej chwili przemykają tysiące świateł, tysiące odcieni, a wszystko to trzeba schwycić, inaczej namalujesz maskę. W jej oku masz siedm barw tęczowych, a na ustach widać drobny pyłek liści różowych.

Zapał Korticzellego rozciekawił obu. Nigdy jeszcze nie był w takim zachwyceniu. Zajęli się wszyscy tem szczególnem zdarzeniem i różne czynili plany, aby piękną Litwinkę do pracowni Bacciarelego sprowadzić. Lecz wszystkie ich plany rozbijały się o rubaszność litewskiego szlachcica, obok którego widział Włoch leżącą maczugę, a o której w sprawozdaniu swojem wcale nie zapomniał. Wreszcie ozwał się Węgierski:

— Szczególna myśl przychodzi mi do głowy. Szlachcic przyjechał gdzieś od białego morza i musi to być antyk niepospolity. Nie zna Warszawy, nie zna króla, a gdy zje swój bigos, odjedzie sobie, zkąd przybył. Nie zawadzi odegrać z szlachcicem jaką komedyę i napędzić go potem w bory litewskie.

Obaj Włosi spojrzeli ciekawie na mówiącego.

— Gdy się król do tego wmiesza, szlachcic na wszystko przystanie, zauważył po chwili Węgierski.

— Ba! to być nie może! zawołał dworzanin.

— Znam pewnego szlachcica, poczciwy chłopiec, mówił dalej Węgierski, wisi przy dworze Wojewody Inflanckiego. Kubek w kubek do Stanisława Augusta podobny. Ubrać go w perukę, spoić, a szlachcic litewski pokłoni mu się nizko, i sam swoją Rusułkę na krześle posadzi. A co?

— Ruścinowski? zawołał Korticzelli.

— Ten sam.

Niejaki czas milczeli wszyscy. Każdy rozbierał w głowie azardowność takiego kroku. Ale Węgierski tak pocieszne ztąd wyprowadzał sytuacye, tak umiał dworzanina i malarza przekonać, że o tej komedyi nikt się nie dowie, że wreszcie przyjęto jego projekt i postanowiono wykonać go dnia jutrzejszego, podczas gdy Stanisław August u księcia C***, „głowy familii“ obiadować będzie.

Jak się to stało, trudno wiedzieć, ale to pewna, że projekt udał się wybornie. Cóż się bowiem Korticzellemu kiedykolwiek nie udało? Dosyć, że dnia jutrzejszego, w tym samym pawilonie siedziała Dorota na aksamitnym fotelu w czarnym kaftaniku z fijołkiem w włosach, cała czerwona jakby burak, a pan Wilga w skromnej postawie stał przy progu, opowiadając królowi różne swoje przygody. Mniemany król był w dobrym humorze, miał policzki czerwone i jakąś bekieszę jedwabną w duże, liliowe pasy. Często zerkał na siedzącą jakby na węglach Dorotę, a przechadzając się po pokoju zatrzymywał się czasem przy niej, i w łaskawości swojej dwoma palcami w policzek ją szczypał. Pan Wilga jakoś nie zawsze dostrzegł tej szczególnej manipulacyi, bo właśnie coś o saskich rajtarach opowiadał, widział jednak, że po każdej takiej przechadzce Jegomości króla, Dorotka raki piekła. Przypisując to bojaźliwości, szepnął jej półgębkiem, gdy się Stanisław August obrócił:

— Śmiało Dorotko, nic się nie bój — trzymaj się prosto! Nie mrugaj oczyma!

IV.

Przez trzy dni chodził pan Wilga z Dorotą do pawilonu nad brzegiem Wisły, a każdą razą był król obecny, a zawsze łaskaw dla szlachcica, który niby potulnie stał przy progu a w duchu, mospanie, wąsy sobie pokręcał. Ale czwartego dnia padło coś szlachcicowi w oko. Król był jakoś w niezwykłym humorze, śmiał się na całe gardło, mówił ni w pięć ni w dziewięć, a gdy wstał z krzesła, aby Dorotkę po twarzy pogładzić, takie niepewne stawiał kroki, jak gdyby podłoga pod nim się chwiała.

— Podpił sobie miodku na rozweselenie serca, myślał w duchu pan Wilga; biedny człowieczysko, nie najlepiej mu na tronie! Ot i on taki człowiek jak drugi, i jemu miło, gdy po starym lipcu świat w koło niego zatańcuje.

I w samej rzeczy zdawał się cały świat w koło mniemanego króla tańcować, bo taka radość patrzyła mu z oczu, jak gdyby nie na tronie, ale na stu koniach siedział. W końcu poczęła się jakoś i miarka przebierać, co widząc Bacciarelli odłożył pędzle i paletę, i króla za przerwanie pracy uniżenie przeprosił.

— Dziwny to człowiek, ten Stolnik litewski, dumał w duchu pan Wilga prowadząc Dorotkę do gospody Rożynka, przecież było więcej należało dbać o *decorum* persony królewskiej. A on jak widzę....

Tu pochwycił go ktoś za połę. Obejrzał się i poznał Michnę.

— Ot dobrze że Wasze widzę. Pójdźmy do Rożynka, pomówimy coś z sobą.

Przyszedłszy do gospody kazał Dorotce odejść do izdebki, a sam wziąwszy Michnę pod ramię, wprowadził do szynkowni, zasadził za stołem i tak się do niego odezwał:

— Widzisz Waszmość, już trzy dni jestem jakby nie swój.

— Zapewnie wędzonka.... kieliszek piołonówki nie zawadzi.

— Gdzie tam! Wcale co innego!

— Może kto Waszeć kaptuje.

— I to nie, widać że o nas już dzisiaj nikt nie stoi!

— A cóż takiego?

— Ot, tylko się nie śmiejcie ze mnie, a wszystko opowiem. Przed trzema dniami przyszło do nas to przeklęte Włoszysko, a przyszło nie bez kozyry. Jak zaczął mi prawić coś o sztukach łamanych, których wielkim miłośnikiem ma być król Jegomość, jak sztuki potrzebne są dzisiaj, mospanie, dla narodu, jakby to dzisiaj wszystko sztukować chciano; — jak jął mi przedkładać, że Dorota ma takie same oczy, jakich właśnie potrzeba malarzowi do jakiegoś świętego obrazu, że król Jegomość sam przy tej operacyi *in propria persona* jest obecny i wielce za to wdzięczen mi będzie: cóż było robić Mościpanie? A pomyślałem sobie: król tam będzie, zgada się zapewnie jakie słówko, a *intra parenthesim* wtrąci się i jakaś recepta dla rzeczypospolitej, której mimo uszu przecież by nie puścił. Ale cóż ztąd? Oto, obchodząc rzeczy z daleka, mówiłem mu wiele o walecznej obronie Jasnej góry, jak mi to mój rodzic zawsze opowiadał, a mówiłem z takim ferworem, że aż się mi samemu gorąco robiło, i cóż waść myślisz, że wziął to do serca? Gdzie tam! Groch na ściany! Do dziewki się uśmiechał i patrzył w nią jak w tęczę!

Michna pokiwał głową, potarł łysinę i splunął.

— A tam za katy! ozwał się po chwili, cóż waści do głowy przyszło, prowadzić tam dziewczę?

— No, pod mojem okiem, z oka nie spuściłem —

— Ta dobrze, dobrze, ale przecież....

— Jakto? Sam król....

— A gdyby i sam Lucyper z piekła, krzyknął Michna i uderzył o stół, aż rzeźnik z Iłży na drugim końcu się zbudził, gdyby sam Lucyper przyszedł do mnie po moje dziecko, tobym go skropił, żeby ruski miesiąc popamiętał —

— No, przecież w tem nie ma herezyi panie Michale —

— Ale zawsze rzecz brzydka mospanie, kazać dziecku siedzieć, aby bohomaz z niego oczy zdejmował. A wiecie do czego to wszystko zmierza? Oto Dorotę przylepią gdzieś nad piecem w pokojach jego królewskiej Mości, a ludzie będą o niej mówić rzeczy niesłychane.

— Ho, ho, na to nie pozwolę, krzyknął Wilga i tupnął nogą, aż szklanki zabrzęczały.

— Nie wiecie, co za zepsucie tu w Warszawie!

Wilga spuścił głowę i zadumał się. Porachowawszy się z sumieniem, przekonał się, że źle sobie postąpił, a gdy do tego wszystkie sprawy Rzeczypospolitej, które jego uszu doszły, należycie rozważył, uznał w duchu, że nadarmo do Warszawy przybył. Zatęsknił za małym futorkiem, za ciszą puszcz litewskich i złorzeczył Ojcu Gwardyanowi z Brześcia, że mu do stolicy jechać poradził.

Tymczasem zaszło boże słoneczko za kamienicę kowala Jezierskiego, a Wilga przypomniał sobie, że Dorotka sama w izdebce.

— Czy będziesz co jadła? zapytał siedzącą przy oknie.

— Nie, kochany wujaszku, nie jestem głodna, odpowiedziała Dorota dziwnym głosem.

— Cóż ci to jest kochanie, żeś tak osowiała.

— Nic mi nie jest, jakoś mi smutno.

— Otóż masz! pomyślał sobie pan Wilga, nie darmo tak w nią oczy wlepiał. Musiał ją urzeknąć. O dzisiaj praktykują się różne sztuczki!

I przeszedł się kilka razy po izdebce, spoglądając zawsze z pod oka na Dorotę, która przez okno na ulicę patrzała.

— No, kogoż tam wyglądasz? Król pewnie do ciebie nie przyjdzie!

Dorota zakryła sobie oczy rękoma i poczęła płakać. Zląkł się wujaszek tej sceny i naklął sobie w duchu za nieszczęsny koncept, że do Warszawy przyjechał. I począł sobie wyrzucać:

— Tfu, mospanie! Czterdzieście lat miałem rozum, a na starość zbłaźniłem. Po co mi było do tej zepsutej Warszawy przyjeżdżać! Cóż biedny szlachcic bez ręki dzisiaj pomoże? Zapewnie, gangrena to prawda, ale przecież nie w całem ciele choroba. A im dalej od raka, tem zdrowsze członki. Na futorku trzeba dziś siedzieć, a nie w sejmie. Bo tam zdrowie, a tu gangrena. Tam trzeba to zdrowie konserwować, mospanie, a z tamtąd wejdzie i do głowy.

Tak dumał sobie stary szlachcic, a dumał bardzo rozumnie. Spojrzawszy na płaczącą Dorotę zbudził się jakby ze snu, przetarł oczy, a patrząc ostro na nią, tak się ozwał.

— Dorotko, kukułeczko moja, ciebie ktoś oczarował.

— Odmawiam trzy razy na dzień litanią do św. Antoniego.

— Widać, że mimo tego...

— A modlę się tak szczerze, prawie zawsze z płaczem!

— To wszystko ten król...

— Jegomość król nic nie winien...

— Oho, mrugał do ciebie — widziałem....

Dorotka spiekła raka i jeszcze rzewniej płakać zaczęła. Po chwili rzekła:

— Wujaszku, ja pójdę do klasztoru.

— Masz babo reduty, krzyknął pan Wilga, nie mówiłem, że ją ci Włoszyska oczarowali... Odmów Antyfonę i litanię do św. Antoniego, połóż się na prawym boku spać, uczyniwszy wprzód na poduszce krzyż święty, a zły duch-kusiciel odstąpi od ciebie. Jutro pójdziemy do fary.

Dorota przeżegnała się kilka razy, położyła się na prawym boku, zamróżyła oczy, ale wszystko to jakoś nie skutkowało. Przed jej oczyma stał król Jegomość i mrugał do niej. Przeżegnała się jeszcze raz, nic nie pomogło. Wreszcie zaciągła kilimek na głowę ale i tam widziała pełne, rumiane policzki mniemanego króla.

I panu Wildze nie lepiej się powodziło. Wlazł pod pierzynkę, nakrył się z głową, ale sen uciekał od niego. Widział Włocha, jak zęby wyszczerzał i śmiał się z litewskiego szlachcica. Nie było rady z przeklętym Włoszyskiem, zakwaterował się do niego pod pierzynę i ani go wypędzić. Spocił się stary szlachcic, przewracał się z jednego boku na drugi, a z nim razem przewracał się i Włoszysko i ciągle mu w oczy zaglądał. Wielką miał ochotę, dać mu odlewany policzek, ale gdy sobie przypomniał, że to mara tylko, zreflektował się i rzekł do siebie: Sen mara, a Bóg wiara. —

Jeszcze nie był domówił ostatniego słowa, gdy tuż pod drzwiami zasłyszał jakiś szelest. Odkrył jedno ucho, otworzył gębę, i zdawało mu się, że ktoś po sieni chodzi. W krótce słyszał coś niby muzykę, niby szepty jakie. Odkrył drugie ucho, i podniósł się na łóżku, aby lepiej słyszeć.

I w samej rzeczy zasłyszał teraz wyraźnie tony bandurki. Przy bandurce począł ktoś spiewać. Pan Wilga słuchał:

....Usłysz niebianko lutni mojej dźwięki,
U drzwi twych stoję — w noc ciemną!
Serce me drażnią ach! rozkoszne męki,
O wyznaj, żeś mi wzajemną! —....

Pan Wilga uczuł, że mu włosy na głowie stanęły. Zatrzymuał oddech i słuchał, czy Dorotka się nie zbudzi. Ale Dorotka, jak widać, zasnęła. Nie wiedział biedny, co począć. Tymczasem spiewał tamten dalej:

A że cię kocham, masz dowód niezbity,
Patrz, twojej wzywam litości —
Sen mi odebrał chłopiec Afrodyty,
A rozpacz w sercu mem gości...

Już dłużej nie mógł wytrzymać pan Wilga. Wyskoczył z łóżka równemi nogami, wziął żupan i maczugę i cicho drzwi otworzył.

— A tuś mi, przeklęty seduktorze? zawołał przytłumionym głosem, pochwyciwszy trubadura za kołnierz.

Biedny kochanek nie wiedział, co się z nim stało, tak szybko odbyła się ta niespodziana operacya.

— Kto jesteś, szlachcic czy plebejusz?

— Kto jestem?... Spojrzyj na mnie! odparł trubadur przyszedłszy nieco do siebie. Tylko proszę cię, nie rób hałasu.

Pan Wilga poprowadził go do latarki, która na środku sieni słabo się świeciła, a spojrzawszy mu w twarz krzyknął przestraszony:

— *Mater Dei!* król Jegomość!

I w samej rzeczy nie był to kto inny, jak ten sam król, który Dorotkę po twarzy szczypał. Miał na sobie tę samą kapotkę jedwabną w liljowe pasy, tylko peruka przy niezręcznem obejściu się z nią pana Wilgi, trochę się skrzywiła.

— *Mater Dei*, krzyczał szlachcic, toż takiż przykład król Jegomość...

— Mówię waszmości, tylko nie krzycz.

Wilga namyślł się chwilę.

— Nie, to na sucho nie ujdzie! zawołał, Wasza królewska Mość musisz się ze mną rozprawić. Szlachecki klejnot, mospanie, to więcej niż berło. *Omissis omittendis* równa krew w nas płynie. Sedukcya młodej dziewczyny.... a z resztą i tak nazbierała się już zkądinąd miarka.... Stawaj Waszmość — drugi raz tak mi się nie uda —

— Co waść pleciesz....

— Co plotę, to plotę, dosyć na tem — bić się musimy... oho, miałem już dawno na wątróbce.... no, prędzej, bo narobię hałasu... a *decorum* mospanie?...

— Wszak niemasz Waść prawej ręki!

— Prawda, prawda, zawołał smutno Wilga, przeklęty Tarłowczyk! jabym go teraz za wszystkich...

Tu naklął pan Wilga Tarłowczykowi, pomyślał chwilę, lecz zwracając się nagle do trubadura rzekł:

— Otóż i ręka będzie!

Postąpił kilka kroków naprzód i zapukał do drzwi izdebki.

— Michale! prędko, weź Waść szablę.

— A to na co? zapytał przebudzony szlachcic.

— Bić się będziesz.

— Z kim? Za co?

— Nie pytaj! z szlachcicem, za obrazę honoru *cum quibusdam aliis.*

Za chwilę pojawił się Michna z demeszką pod pachą.

— Wasza królewska Mość staniesz plecyma do latarki — a nikt Waszmości nie pozna, szepnął do króla Wilga.

Nieszczęśliwy kochanek rad nie rad musiał stanąć. Wilga widząc że u boku ma szpadę, pobiegł do izdebki, a podając mu swoją szablę, rzekł:

— Ten scyzoryk do piór tylko. Tu jest coś lepszego. Turecka bestyjka! tylko kazałem napisać: Jezus, Marya, Józef! A no, wal Michale w imie boże i rzeczypospolitej — najprzód za sedukcyą a potem za *pacta conventa*....

Michna tak był pewny dobrej sprawy ze strony pana Wilgi, że nie wdając się w wyjaśnienie rzeczy, chwycił za rękojeść szabli i kilka razy w koło nią

zatoczył. Toż samo uczynił i jego adwersarz. Snać mu się szabla Litwina musiała podobać, bo ją z upodobaniem na obie strony obejrzał.

— Patrzaj, szepnął Wilga do ucha przyjacielowi, nie fryc w tem rzemiośle, poznał się na szabelce. Aż mu się oczy zaszkliły.... nie myślałem, żeby był tak skory do szabli jak do dziewczyny....

I nie dokończył jeszcze a mniemany król już natarł na Michnę. Michna odcinał się krzepko mimo lat siedmdziesięciu, skakał w lewo i w prawo, kucznął kilka razy i podskoczył, jakto dawniej za jego czasów praktykowano. Ale adwersarz rozumiał sztukę doskonale. Michna począł się cofać.

— Michna! odlew! krzyczał Wilga—pal młynka! z dołu! Referendarza!

I jakoż w samej rzeczy cięcie referendarskie takie było mistrzowskie, że chcąc się przed niem zasłonić, musiał adwersarz szablę na dół spuścić, przez co głowa jego w wielkiem była niebezpieczeństwie.

W tej chwili zrobił się hałas. Z kagańcem w ręku, w lekkiej, powiewnej szacie wypadła Dorota z izdebki, a wymówiwszy: Jezus, Marya, Józef! stanęła między walczącymi. Światło kagańca padło na twarz mniemanego króla — Michna upuścił szablę.

— Ruścinowski! zawołał.

Ruścinowski rzucił perukę, która mu zawadzała, a otarłszy pot z czoła, zawołał:

— Ażem się wytrzeźwił! Nie wiedziałem panie Michna, że się Waszeć tak tęgo bijesz.

— Ba, któż się spodziewał, że to Waść....

Wilga stał jakby piorun trzasł w niego. Chciał coś powiedzieć, ale język stwardniał mu jak kołek. Zabełkotał, splunął i nic więcej.

— Toście z szlachcicem w straszaka grali? krzyknął wreszcie, wystawiliście dziewczynę na publikę?... ha! Strzelać się musisz, strzelać — rozumiesz strzelać...

— Wujaszku kochany... jęczała Dorota, jabym umarła...

Ruścinowski spojrzał na nią, a szabla wypadła mu z ręki. Dorota była cudnie piękną. Jej włosy rozpuszczone wijące się po śnieżnych ramionach, jej szata wiotka, powiewna, oddająca wybornie przecudne jej kształty, jej głos srebrny, drzący, w którym były łzy i rozpacz, wszystko to takie na nim zrobiło wrażenie, że i trzech zliczyć nie umiał. Począł coś przebąkiwać, że był trochę przy fantazyi, przepraszać, ale stary Wilga o niczem słyszeć nie chciał, tylko sapiąc z złości, wziął Dorotę za rękę i do izdebki wprowadził. Resztę odłożył do jutra.

Gdy już był trochę przyszedł do siebie, zapytał Michnę o tegoż Ruścinowskiego.

— Nie ma co mówić, walny chłopiec, rzekł do Michny, na mojej Turczynce poznał się od razu. Aż mu się oczy zaiskrzyły... tęgo nią wywijał... ot głupstwo... pustota młodzieńcza... ale mnie starego tak w pole wywieźć... nie daruję, nie daruję...

— Wujaszku kochany... płakała Dorota, a serce jej czegoś się radowało —

Była to może pierwsza kobieta, która się z tego cieszyła, że jej kochanek nie jest — królem.

Jakoż i słusznie się cieszyła. Za cztery bowiem tygodnie klęczała na stopniach ołtarza i płakała, jak stary obyczaj kazał, serdecznie za swoim wiankiem.

Wilga przebaczył Ruścinowskiemu i oboje zabrał na swój futorek.

— Warszawa, zwykł mawiać, to już dzisiaj nie dla szlachcica. Jego posterunek, mospanie, na wsi, przy pługu. Tam jeszcze zdrowie, tam nadzieja, tam rola przyszłych plonów. Tylko nie szumno, ale jak Bóg przykazał, z bliźnim po chrześciańsku. A każdy nasz bliźni, i wielki i maluczki. A na wszystko resztę trzeba powiedzieć: Bądź wola twoja jako w niebie tak i na ziemi! —

I dotrzymał słowa poczciwy szlachcic. Stał się znowu rozmownym, odwiedzał szlachtę, prawił jej o dawnych czasach i zdarzeniach, ale o pojedynku z królem nigdy nie wspomniał. Michna tylko razu jednego wygadał się, gdy go pan Ruścinowski w kumy zaprosił i po staremu ugościł.

Z.

Z tragedyi
„IWONIA"
przez J. Zacharjasiewicza.

Aktu trzeciego scena pierwsza.

Sala w pałacu Hospodara — kilka bocznych drzwi, przez duże okna widać na ulicę — rzemieślnicy i służba kończą urządzenie sali. Krzesła w półkole, w środku krzesło tronowe — nad niem herby Wołoszy — wyżej zasłona.

Rzemieślnicy i służba:

Pierwszy: Trzy dni i noce robimy bez przerwy,
Gdyby to tylko na dobre nam wyszło!
Drugi: Tyś niby mądry a głupio masz w głowie,
Wierzysz w ćmy nocne —
Pierwszy: A co, czy nie zgadłem,
Jest dwa miesiące temu... w tym pałacu
Bogdan, hospodar —
Drugi: A! to czarne widmo,
Które z komina zlazło na podłogę!
Trzeci: Tobie Jędrzeju wtedy tylko świta
Gdy się upijesz — a ja ci powiadam
Nie jestem młodzik, ani wartogłowy,
Górą pięćdziesiąt już liczę, a wczoraj
Kiedy nad ranem zmróżyłem powieki
Zdawało mi sie, że z pod tej zasłony
(*wskazuje nad herby Wołoszy*)
Trysnął krwi potok i wszystkich nas zalał —
Czwarty: Ja o północy widziałem kometę
Przytem czuć było woń siarki i smoły —
Kilku: Już to nie dobrze wróżą takie rzeczy!
Jeden: Z Stambułu przybył Tatar —

Drugi: To rzecz inna,
Tatar nie upior — ani też kometa,
W Tatara wierzę—jak wierzę w krzyż Pański,
Wierzę, że jak nas Muzułman raz chwycił
Tak nas z żelaznych nie wypuści szponów...
Pierwszy: Złocąc ten pułap — to zdawało mi się
Że grób wyzłacam —
Trzeci: Logofet, co zawsze
Śmiech ma na ustach, dziś wszedł tu do sali
Stanął pośrodku — przypatrzył się ścianom,
Pokiwał głową — westchnął — gdy odchodził
Widziałem — z oczu ocierał coś ręką —
Czwarty: A wczoraj przyszedł biskup Izaijasz,
Patrzał tam w górę (*wskazuje nad herby*) jakie trzy pacierze,
Potem uklęknął i krzyż święty zrobił
Jakby złych duchów chciał wygnać z tej sali!
(*Słychać kroki i rozmowę*)
Jeden: Cyt — (*patrzy przez okno*) ktoś tu idzie,
Hieremi.... Tatar....
Kilku: Cicho! do roboty.
Kilku: Już my skończyli!
Drugi: A więc ja wam radzę
Pójdźmy precz wszyscy — bo nos chrześciański
Nie zniesie tatarskiej zaduchy —
Kilku: Odejdźmy!
Drugi: Niech się panowie z wrogami bratają,
My, prosty motłoch, będziem zawsze zdala!
(*odchodzą.*)

Scena druga.

Hieremi — Poseł sułtański.
Poseł: Więc to jest sala, w której dzisiaj dywan
Usłyszy ważne Hospodara słowo —
Tyle bogactwa!... i u Padyszacha
Niema bogatszej komnaty! — Starosto!
Iwonia musi bajeczne mieć skarby!
Hieremi: Gdybym powiedział, że mniej piasku w morzu,
Mniej gwiazd na niebie — jak u niego złota,
Drogich kamieni, jedwabi —
Poseł: Starosto!
Ty mnie zadziwiasz tem opowiadaniem!
Hieremi *z uśmiechem*:
Wiadomo wszystkim w dywanie — sam Selim
Wie, jakie skarby hospodar posiada —
Poseł: Wielkie nieszczęście nawiedza Selima —
(*wzdycha*) Skarb jego pusty — flota na dnie morza!
Hieremi: Bolesną dla nas jest wieść z pod Lepanto!
Poseł: Tak Ałłah naprzód zapisał do księgi:
Pójdziecie na dno wód— ztamtąd jak gwiazdy
Błyśniecie jasno... Lecz dzisiaj starosto,
Trzeba od wiernych i poddanych ofiar —
Hieremi: Padyszach każe, a wszystko jest jego!
Poseł: Starosto! Selim nie zawiódł się przecie.
Hieremi: Hieremi umie być sługą cesarza
Tak jak Iwonii wiernym przyjacielem —
(*pauza — patrzą wzajem na siebie*)
Poseł: We wszelkich jego losach? —
Hieremi: Tak, we wszystkich!
(*pauza — po chwili*)
Wszakżeśmy obaj prawie wzrośli razem
Jedna myśl nasze rozogniała serca,
Dziś obie gwiazdy naszego żywota
Zlały się w jedną — a jedna bez drugiej
Świecić nie może — Kto jedną zagasi
Zgaśnie i druga —
Poseł: Mój Pan ma gwiazd wiele
Ma inne nieba — w krajach Padyszacha
Nigdy blask słońca nie gaśnie —
Hieremi: Iwonii
Gwiazda szczęśliwa — szczęśliwsza nad inne—
Bo zeszła razem z moją —
Poseł: Ty, Starosto,
Pierwszy przysłałeś wieść do Padyszacha
O Hospodara tajemnych zamiarach —
Hieremi: Bo tak mi kazał Hospodar Iwonia —
(*pauza*)
Poseł: A tak... to łatwo dało się przewidzieć —
Żeście w sojuszu obaj...
Hieremi: Nasze serca
Ta sama wiara ożywia do czynu —
Poseł: Otóż Padyszach ufny w twej przyjaźni
Dla Hospodara Iwonii — rozkazał
Abym sekretnie rozmówił się z tobą
Wierny starosto —
Hieremi: Jesteśmy tu sami —
Poseł: Krok Hospodara nam się nie podoba.
Hieremi: Cała Wołosza do nóg mu upadnie —
Poseł: Armia Selima stoi nad Dunajem.
Hieremi: Jakby mąż jeden powstaną Wołochy —
Poseł: Ta mała garstka?...
Hieremi: A Polska za nami.
Poseł: Polska z Selimem zawiera przymierze —
Hieremi: Iwonia nigdy nie zawiódł się w życiu!
Poseł: O toż więc idzie, waleczny Starosto,
Aby Iwonia nie zawiódł w tej chwili
Siebie i swoich przyjaciół... a tobie
Najwięcej ufa i da się powstrzymać —
Hieremi: Co przyjaźń dojrzeć i co zdziałać może
Wszystko uczynię —
Poseł: A jeśli Hospodar
Ślepy na rady przyjaciela —
Hieremi: Wtedy
Przyjaciel przy nim stanie jak opoka.
Poseł: Masz wielką duszę, waleczny Starosto,
Wyższego Pana i wyższych zaszczytów
Wart jesteś — Selim mógłby spać spokojnie,
Gdyby Hieremi władał na Wołoszy! —
Hieremi: Wiernego sługi pokłon Selimowi!
(*pauza*)
Poseł *wskazuje na boczne drzwi*:
Więc tu są moje komnaty?
Hieremi: Tu panie —
Poseł: Żegnam starosto — słyszę tłum uliczny,
Snać już nadchodzą — A twojej przyjaźni

Poruczam losy Wołoszy — Iwonia
Przyjmie uległe rozkazy Selima —
Hieremi: Iwonia uczyni, co naród rozkaże—
(*Poseł odchodzi.*)

Scena trzecia.

Hieremi oglądnąwszy drzwi:
Jest chwila czynu — jeden krok... pół kroku
Wszystko się spełni... tak, spełnić się musi —
Hieremi dłużej nie może być sługą —
Musi być władzcą — rozkazywać — władać—
Tu mu już ciasno... o nie znacie orła
Który z tej klatki rwie się do swobody!
A więc nad skały!... Biedny Czaus sułtański,
Oblicza teraz, za jak wielką cenę
Można rozłączyć przyjaciół ramiona —
Tem większa cena, im większa ofiara...
Cicho... ktoś idzie...
(*z bocznych drzwi wychodzi Iwonia.*)

Scena czwarta.

Iwonia: Hieremi, mój bracie
Od rana niema cię przy moim boku,
A w dniu dzisiejszym przyjaciel tak wierny
Jak ty mój bracie, jest szczęściem mej duszy—
Hieremi: Niepokój, który twe serce ogarnął
To zawrót duszy — która tak wysoko
Wzniosła się w górę po nad świat zwyczajny!
Ty lecisz orłem — my stoim na ziemi!
Iwonia: Cóż Czaus Selima?
Hieremi: Przyjdzie do Senatu
I pozdrowienie Padyszacha da ci —
Iwonia: W to pozdrowienie nie wierzę mój bracie,
Wojska Sułtana ciągną ku Wołoszy —
Petryło w wielkich łaskach u Selima —
Hieremi: Polska nam sprzyja — po dzisiejszym akcie—
Iwonia: Poda nam rękę braterską -- lecz wojska
Dać nam nie może —
Hieremi: Słyszałem że Ramsza
W konszachtach z jakimś hetmanem kozackim.
Iwonia: Hetman Swierczowski gotów nam dopomódz—
Hieremi: Słuchaj Hieremi — wszystko rozważyłem,
A przecież coś mnie w duszy niepokoi.
Od czasu, kiedym władzcą jest narodu
Zaszła w mem sercu zmiana niepojęta.
Hieremi: Widzę tę zmianę... Nie władzca Iwonia
Dziś—tak przemawia,—lecz niewolnik wdzięków
Pięknej Beaty —
Iwonia *po krótkiem zamyśleniu*:
Źle sądzisz mój bracie!
Tobie, Hieremi, ten świat był macochą,
Z ubogiej piersi wyssałeś truciznę,
Litość cię w czarne odziała łachmany,
Tyś plwał na ludzi — o kiju żebraczym
Poznałem Ciebie — i do mojej łodzi
Do łodzi szczęścia wziąłem Cię Hieremi —
Ty do niej wziąłeś pogardę dla ludzi!
Hieremi: Tylko dla Ciebie przyjaźń Hospodarze —
Iwonia: Władza-by z ciebie zrobiła tyrana —
Hieremi (*gorżko*): Dla tego Mądrość i Opatrzność Boga
Łańcuchem sługi skuła moje ręce —
Iwonia: Dopóki byłem sam jeden na świecie
Bujałem wolno w mych żądzach— a dzisiaj
Gdy los narodu w moim spoczął ręku
Lękam się śmiałych pragnień mojej duszy
I pytam siebie: Czy to nie jest pycha
Mojego serca, czy dla własnej dumy
Nie pcham narodu w przepaść.
Hieremi: O Iwonio,
Serce twe mięknie przy oczach Beaty
Wiara i zapał dziś obce są tobie
Iwonia: Nie mój Hieremi — wola moja silna,
Tylko się lękam, czy jej grunt szlachetny....
Hieremi: Wola twa wolą całego narodu
(*przystępuje do okna*)
Pójdź tu i spojrzyj — oto tłumy ludu
Już się zbliżają — a Senat na przedzie,
Starce — niewiasty — Już słychać okrzyki!
Wszystko w świątecznych strojach—dla Wołoszy
Dziś dzień świąteczny — bo dzień zmartwych-
wstania!
Słyszysz — wołają: Iwonia — Iwonia!
(*słychać okrzyki ludu*)
Iwonia *patrząc przez okno* (*do siebie*)
Beato, tyś mię nauczyła szczęścia,
Jam dziś szczęśliwy — szczęśliwszy w nadziei
Że na tej drodze zdybię się z twem sercem—
(*głośno*): Hieremi — Senat pozdrowisz odemnie
W mojem imieniu — ja zaraz przybędę.
(*odchodzi bocznemi drzwiami.*)
(*D. n.*)

O WYMOWIE W KOŁKU STAROPOLSKIEM

przez Władysława Zawadzkiego.

Dokończenie.

Nowy Rok, Wielkanoc, Boże Narodzenie, święto dorocznego patrona czyli imieniny, obchodzono przemowami. Składali sobie wzajemnie życzenia w długich oracyach sąsiedzi, krewni i przyjaciele domu, występowali z mowami winszującemi dzieci do rodziców, na co znowu rodzice odpowiadali dziękczynnie i z błogosławieństwem, w równie długich i kunsztownie złożonych oracyach. Mowa podobnego rodzaju, którą oto poniżej przytaczam, musiała być wysoko cenioną i często w podobnych razach używaną, znajduję bowiem jej odpis w kilku księgach domowych.

„Szczycił się zawsze i ćwiczył doskonale pogański wiek takową synowskiej ochoty powinnością, mnie wielce MM. Panie ojcze dobrodzieju mój, etc. żeby przeciwko ustawicznemu dobrodziejstw rodzicielskich pieczołowaniu, na

żadnej nieschodziło afektu synowskiego wdzięczności. Do tejże i ja z wrodzoną moją ubiegając się ochotą, gdy z powolną synowskiej usługi chętnie i ochotnie przystępuję kontestacyą, przy dorocznym zmartwychwstałego w ciele Boga tryumfie, chwalebnej świąt pożądanych uroczystości uprzejmem W. M. Dobrodziejowi donoszę winszowaniem, a zarazem na wszystkie potomne wieki, nieprzebranego zdrowia i pomyślnych pociech, jak życzliwy syn, sercem uprzejmem życzę. *Dixi.*"

Czasem, lecz to już należało do wyjątków, układano oracyę rymem, n. p. takim:

Musiałby ten być skalistym kamieniem,
Lub nieużytym gietulskim krzemieniem,
Abo wnętrzności mieć dyamentowe
I serce twardsze niźli marmurowe
Ktoby nie pomógł dziś spólnej radości,
Po wszystkim świecie brzmiącej wesołości, —
Jedynowładca, pan dziś tryumfuje
Z śmierci, któremu piekło już hołduje,
Wydając święte więźnie zatrzymane,
Cne patryarchy, od wieków wybrane.
Dziś Alleluja wszyscy wyśpiewują,
Zwycięzcy piekła wesoło dziękują;
Toż Alleluja powtarzam ja Tobie
Cna rodzicielko! życząc tego sobie
Abych przez długie lata z zdrowia Twego
Cieszył się z woli Boga najwyższego!"

W pamiętnikach Paska znajdujemy między innemi znamienitą próbkę wymowy okolicznościowej, w mowie p. Franciszka Ołtarzewskiego powiedzianej przy oddawaniu pary lipowych trzewiczków, które jako w Polsce nieznany zamorski rarytet przywiózł p. Pasek z Danii damie swojej pannie Teresie Krosnowskiej „co to się w sobie kochali." P. Franciszek Ołtarzewski, towarzysz i sąsiad Paska, uproszony przezeń do oddania tegoż prezentu, wspomniawszy w obszernym wstępie podróż Jazona do Colchides, Hipomenesa i Atalantę, wywiódł dosyć ładnie, pierwej niżeli pokazał, co tam było intus w pultynku, jako „nigdy niewidany w Polsce oddaje prezent, którego pewnie ani w królewskich, ani w cesarskich nie znajdzie skarbnicach, któremu równego i sama na cały świat sławna i wymyślna strojnica Kleopatra, nie zażywała i nie miała ornamentu." Wszakże i sam p. Pasek słynął swojego czasu z wymowy, a doszedłszy z tego względu do znakomitej u panów braci estymy, często jako uproszony mowca przy rozmaitych występował okazyach.

Najwięcej sposobności do popisania się z krasomowstwem nastręczały pogrzeby i wesela. Było w zwyczaju iż na pogrzebie po odprawieniu żałobnego obrzędu, po mowach mianych przez jednego lub wiecej kapłanów, występował który z przyjaciół zmarłego i w mowie długiej pochwałę czynów i pamięć zasług jego rozwodził. Obszerne to było pole do popisu z wszelkiego rodzaju erudycyą, gdy mowca bujając w przenośniach szafował cytatami z pisarzów starożytnych, z pisma świętego i ojców kościoła, przyrównaniami czerpanemi z heraldyki i z historii, z mitologii i astronomii, z spraw ziemskich i konstelacyi niebieskich. Wywiódłszy świetną nieboszczyka parentelę, przytaczał cały szereg jego przodków podnosząc onych zasługi, a gdy tych nie stało, łacno dostarczały wątku dzieje skoligaconych z nieboszczykiem rodzin, w braku zaś i tego, mowca rozwodził się nad cnotami którychkolwiek bohaterów z nowej i starożytnej historyi, co wszystko przy jakiej takiej zręczności mowcy, a roztkliwionem uroczystością chwili pobłażliwem usposobieniu słuchaczy, zawsze do czynów i życia zmarłego jakoś przystosować się dało. Na taką wielkim, przyjaznym afektem ku nieboszczykowi i jego rodzinie podyktowaną mowę, występował znów ktoś z familii nieboszczyka i wydzięczając afekt za afekt, równie długą dziękował przemową. W zbiorach mów świeckich przygodnych, które się dotąd przechowały, zajmują zwykle znaczną część mowy pogrzebowe. W mowach podobnych dla użytku powszechnego komponowanych, pomiędzy okólnikowemi krasomowczemi ustępy oznaczano wyraźnie miejsca które sam mowca wypełnić musiał wyliczeniem rzeczy ściągających się wyłącznie do tej okazyi, w której były mówione. Były to więc mowy z okienkiem.

Więcej jednak niż na pogrzebach przemawiano przy uroczystościach weselnych. Gdy na pogrzebie żal ściskał piersi i nieraz może przytłumiał zbytne słów mnóstwo, na weselu przeciwnie rozwiązywały się radością zarówno serce i usta; gdy na pogrzebie trumna nieboszczyka była jedynym punktem, około którego mowca mógł zadzierżgnąć wątek przemowy, wesele połączone z wielką ilością obrzędów, dawało tyleż okazji do rozmaitych oracji. Przodkowie nasi lubowali się w okazałości, w formach, toż nawet pamięć zatraca się już dziś jak wielką liczbę niezbędnych obrzędów przepisywał ceremoniał staropolskiego wesela, przyczem nie mogło się obejść bez nieustannych z jednej i drugiej strony oracyi i odpowiedzi. Wesele staropolskie to najbujniejsze pole krasomowczych plonów. Sypiąc się jak z rogu obfitości przytrząsały one krasomowczym wdziękiem cały ciąg uroczystości. Oto pierwsze już oświadczenie czynili w imieniu kawalera uproszeni ku temu krewni jego lub przyjaciele w długiej oracyi do rodziców lub opiekunów panny. Nazywano akt ten „staraniem się o przyjaźń panny" a był on częstokroć połączony z darem wdzięcznie uwitego wieńca, będącego niejako symbolem połączonych w węzeł miłośnego afektu uczuć młodzieńca ofiarującego wieniec. Po oświadczeniu odpowiadali rodzice panny równie długą i kunsztowną oracyą, w której wyraziwszy jak sobie wysoko cenią życzliwe chęci konkurenta oznajmiali, iż albo przychylają się ku nim, lub biorą rzecz na deliberacyą, bo co do samej odmowy, ta występowała zwykle w postaci arbuza lub szarej polewki. Po odpowiedzi rodzicielskiej następowała oracya dziękczynna, najczęściej już przez usta samego kawalera wypowiedziana. Przy zrękowinach, zaręczynach, znów mowy mianowicie przy oddawaniu narzeczonej pierścienia i wieńca. Wieniec bywał najwdzięczniejszym, najromantyczniejszym uczuć wyrazem; to też oddawano wieńce w darze starając się o przyjaźń, oddawano po zrękowinach, oddawano pannie młodej przed ślubem. Przy wjeździe pana młodego już na wesele w dom rodziców panny młodej występowano z solennemi z obu stron przemowami. Towarzyszyły one oddawaniu cukrów i marcepanów przed i po ślubie; rozwodzono się w oracyach przy ceremonii udzielania błogosławieństwa młodej parze. Ksiądz przy dawaniu ślubu pań-

stwu młodym, miewał znów obszerną przemowę. Mowy kapłańskie były przepełnione więcej od innych erudycyą, cytatami z greckich i rzymskich klasyków i z pisma świętego. Najważniejszą chwilą aktu weselnego było oddawanie panny młodej nowożeńcowi. Tu w imieniu rodziców występował ktoś z uproszonych do tego krewnych lub przyjaciół z przemową, w której rozwodził się obszernie nad wielką zacnością i znakomitością rodu panny, wyliczając długi szereg jej przodków, ażeby w całej świetności przedstawić jaki to skarb dostaje się panu młodemu w osobie oddawanej mu panny, iżby ją małżonek stósownie do zacności osobistej a świetności jej parenteli szacował i miłował w pożyciu małżeńskiem. Odpowiadał na tę przemowę któryś z przyjaciół pana młodego w jego imieniu, a przyznawając wyrażoną co dopiero zacność i świetność rodu panny młodej, dziękując oraz za skarb owy, jaki mu się dostawał w udziele, silił się głównie okazać równąż zacność rodu pana młodego, iżby nie myślano, jakoby dom w który panna młoda wstępuje był mniej świetny zasługą lub koligacyami. Nazajutrz po ślubie, przy oddawaniu zwyczajnych od pana młodego pannie młodej upominków, odprawiały się jeszcze większe oratorskie popisy. Tu występował cały orszak mowców niosących dary, jako to: łańcuch, manele, kanaki, roztruhan, miednicę z nalewką i inne kosztowności, podające treść do mnogich alluzyi. Każden z darów oddawano wraz z stósowną przemową, na którą z przeciwnej strony w imienin panny młodej podobnąż odpowiadał ktoś inny oracyą. Każda z takich oracyi zmieniała się rozmaicie stósownie do okoliczności towarzyszących. W innym n. p, przemawiano sposób gdy oddawano pannie młodej wieńce i dary w zimie, inaczej gdy w porze lata, inaczej znów gdy je posyłał wdowiec pannie, całkiem zaś inną wypadało uczynić rzecz jeśli kawaler starał się o przyjaźń wdowy, inaczej gdy wdowiec wdowie weselnego ofiarował marce pana. Inaczej układano przemowę gdy pan młody sługiwał w wojsku, inaczej gdy czas na pańskich przepędził dworach lub w podróżach za granicą. Wielce zmieniało treść mowy gdy oddawano pannę lub wdowę, gdy od rodziców lub od opiekunów, gdy rzecz czynił uproszony przyjaciel lub krewny, a stopień tej kolligacyi znów w rozmaity sposób koloryzował oracyę. Wszak w samym jednym zbiorze Wojsznarowicza drukowanym w Krakowie w r. 1648 w pierwszej części zawierającej mowy weselne, znajdujemy około czterysta mów, zastósowanych do wszystkich wyliczonych powyżej obrzędów ceremoniału weselnego.

Chcąc mieć próbkę przemowy weselnej z owych jeszcze czasów, kiedy znano prawdziwą wymowę w Polsce, i z prostotą i godnością a z serca przemawiać umiano, przysłuchajmy się słowom Hetmana Tarnowskiego, któremi mąż ten w Gorlicach na weselu syna swego Krzysztofa z Zofią Odrowążanką matce za pannę podziękował:

„Miłościwa Księżno! Zacna, urodziwa, bogata dostaje się dzisiaj synowi memu małżonka. Nie gardzę darami szczęścia; lecz Bóg moim świadkiem, żem nie ich w domu Twoim szukał, ani mię do niego nęcił czyli to zaszczyt krwi królewskiej, powinowactwa cesarzów, czyli blask pysznego wiana. Z łaski Najwyższego stać i mnie syna mego opatrzyć. Życzyłem mu poczciwej żony, dobrze wychowanej i wzorem Twoich cnót wydoskonalonej. Najszczęśliwszym że go taka spotyka. Byś WM. miłościwa Księżno, nie dla zacności rodu królewskiego, ani tego bogactwa panią była, ale byś była najpodlejszą zagrodniczką, tedy jednak cnota W. ks. M. wysoka i świątobliwa życia, przywiodłaby mię była k'temu, abym WMci prosił dziewki synowi swemu jedynemu za żonę.“

Dla porównania przytoczę z daleko późniejszych czasów, często powtarzaną, jedną z krótszych, przemowę przy oddawaniu wieńca:

„Cokolwiek miał świat ludzi, monarchów walecznych, żołnierzy mężnych, mocarzów silnych, brał zawsze z nich Kupido łupy. Obalał Hetmańskie namioty, wykrzykał z wygranej bitwy, z samych nawet pogańskich tryumfował bogów. Jowisza za byka przez ocean przepławił szeroki, Apolina za pastucha z piszczałką wyprawił i Herkulesa swej Dyanitrze uczynił powolnym. A to y JEMc. Pan N. schylił głowę swoję; — jużeć go WMM. Panna zwyciężyła. Już nie na czas, ale własny dożywotni WMM. Panny hołdownik. Nie Kupido, chociaż światu rozkazuje, ale świątobliwe postępki, ozdobniejsze nad złoto i kamienie drogie, w wieczną przyjaźń onego skrępowały. Wstyd, pokora, niewinność WMM. Panny oddaje więźnia tego do kochanego więzienia. w serce, w ręce i opiekę WMM. Panny. A na tryumf tego zwycięztwa, które WMM. Panna nad nim masz, względem powolności i chęci przystojnej, wianeczek uwity przez mię WMM. Pannie na głowę kładzie.“

Porównawszy tę mowę znów z późniejszemi jak, n.p. z potwornie napuszoną przemową Imci Pana Brochowskiego, pisarza Sochaczewskiego, po wygranej bitwie nad Bzurą, do Jejmości Pani małżonki swojej, z drugiej połowy XVII. wieku, przechowaną w Pamiętniku Lwowskim z r. 1817 t. II. jakiż to znowu widzimy odskok, o ile większy jeszcze upadek myśli i smaku.

Przy mnóstwie okazyi do koniecznego popisu z wymową, a zarazem przy coraz większym upadku powszechnej oświaty, coraz potrzebniejszemi stawały się gotowe oracye i zbiory mów, z których słabsze talenta oratorskie zasilić się mogły, zastępując niemi brak własnego konceptu. Wychodziły więc drukowane osobne zbiory mów, ku podręcznej wygodzie mowców okazyonalnych, takiemi były: *„Orator polityczny weselnym i pogrzebowym aktom służący, przez ks. Kazimierza Wojsznarowicza kanon. wileńskiego,* w Krakowie w r. 1648 i 1677.—*Mowca polski, albo suplement do tomu pierwszego mów sejmowych. Mowy krom tego weselnym aktom i różnym powinszowaniom służące i listy należące do tychże materyj tom wtóry, staraniem i nakładem Jana Pisarskiego*, sekretarza JKM. w r. P. 1676 w Kaliszu i inne.

Dawniejszym od tych jest zbiór drukowany jak się zdaje po raz pierwszy w roku 1632 przez Marcina Filipowskiego w Krakowie, pod tytułem: *„Spiżarnia aktów rozmaitych: które się przy zalotach, weselach, bankietach, pogrzebach i tym podobnych inszych zabawach świeckich odprawować zwykły. Wszystkim zobopólnie stanom świeckim, tak szlacheckim jako i miejskim, a zwłaszcza młodzi służąca, i niemniej pożyteczna. W Krakowie, w drukarni Marcina Filipowskiego roku 1632.“* który że dziś już mało komu a raczej wcale prawie nieznany, nieco dokładniej go

opiszę. Jak był w swoim czasie przydatny i rozpowszechniony, świadczy mnogość wydań powtarzających się rychło po sobie. W przeciągu lat nie wielu wyszło ich sześć mnie znajomych, mianowicie w latach 1632. 1635. 1638. 1640. 1647. 1680 a więc co trzy lata nowe wydanie. Widać ztąd jak skwapliwie rozkupowano książkę, jak rozchwytywano sobie oratorskie wiktuały w tej staropolskiej zawarte spiżarni. Kto chce zapoznać się z stanem sztuki krasomowczej w owym czasie, znajdzie tutaj dosyć zasobu do zaspokojenia swej ciekawości. Spiżarnia nie wielkiej wprawdzie objętości, licząca bowiem w wydaniu z r. 1632 tylko trzydzieści kart nieliczbowanych, w małej ćwiartce, drukiem gockim, zaopatrzona jest starannie w różnoraki zapas oratorski. Na karcie tytułowej umieszczony jako godło wiersz następujący:

Nie zawsze się z rękawa wytrząść może;
Ten co temu podoła, ma już dary Boże.
Nie wszystkich nas uczonych natura zrodziła,
Inszym trochę, a inszym wiele udzieliła;
Ganić tedy wszech rzeczy tym co potrzebują
Nie potrzeba, aż pierwej sami ich skosztują.

Na odwrotnej stronie karty tytułowej jest drzeworyt wyobrażający ciołka, herb Ich Mość Panów Wielowiejskich, z wierszem umieszczonym u spodu zastósowanym do herbu. Następuje obszerna, w stylu oratorskim ułożona, obficie makaronizmami natkana, dedykacya JMP. Aleksandrowi z wielkiej wsi Wielowiejskiemu; poczem autor usprawiedliwia się z wydania książki w następny sposób:

Do czytelnika.

„Nie dziwuj się czytelniku łaskawy, którego Pan Bóg rozumem takim obdarzył, że wszystko według czasu odprawić w polityce możesz. Ja te prace moje tym oddaje, których rozum albo nadwątlony, abo też czerstwy i zdrowy będąc, w przygodzie nagłej i prędkiej terminu pożądanego dostąpić nie może. Łatwiej jako experiencya uczy z gotowych drzew budować, o nie się nie starając; łatwiej gdy gotowe wapno, cegła albo kamienie i insza materya, murować. Rozumiem że nie wszyscy w szkole, ale niektórzy za szkołą się uczyli, także jakom wyżej napisał. *Non ex quovis ligno fit Mercurius*, ale jako powiadają: nie z każdego żaka bywa ksiądz, nie każdy też z rękawa słowo może wytrząść. Ja tedy tej intencyi będąc i to wszystko upatrując, tom co masz zebrał — przyjmij za wdzięczne. Tym co prace ludzkie szkalują odpór dając, a sam zdrów używając.“

Część pierwsza zawiera: M o w y p r z y a k t a c h z a l o t n y c h, jakoto: Mowy przy przyjeździe w dziewosłęby, o pannę prosić, o temże przy przyjeździe na względy, dziękowanie za obiecaną pannę, mowy przy oddawaniu upominków od pana młodego. Rozmaite mowy dziękując od panny za upominki. Oddawanie marcepanów. Dziękowanie za marcepany — mowy przy oddawaniu panny, dziękowanie za pannę, przy oddawaniu wieńca, pierścienia i innych upominków weselnych, ogółem mów zalotnych i weselnych, po kilka od każdej z pomienionych okazyj, razem czterdzieści.

Do najromantyczniejszych alluzyi nastręczały okazyę upominki ofiarowane pannie imieniem pana młodego. W i e n i e c, na okrągłym łubku uwity, przemawiał ślicznością i wonnością uplecionych weń rozmaitych ziół i kwiatuszków. Ł a ń c u c h oznaczał przyjaźń dozgonną silnemi ogniwami wzajemnej miłości i uprzejmości skutą a nierozerwaną. M a n e l e będące darem od ulubionego przyjaciela, noszone na ręku, „n i e t y l k o p r z y t o m n e g o a l e i o d l e g ł e g o“ przypominały. Między upominkami najwięcej znaczenia przywiązywano do p i e r ś c i e n i a. Okrągłość jego, nie mająca w sobie początku ani końca oznaczała, iż „i serdecznie się miłujący przyjaciele kończyć nigdy swej zawziętej przeciwko sobie miłości nie mogą.“ Złoto „najkosztowniejszy i najdoskonalszy pomiędzy metalami,“ z którego dar ten bywał ukuty, oznaczało cenność szczerej przyjaźni i miłości, nad które również nic kosztowniejszego nie znaleźć w świecie. „Do tego jako złoto, dodawał mowca, im częściej i dłużej w ogniu próbowane tem większej jasności nabywa i ozdobniej świeci, tak też i miłość w najcięższych przygodach im dalej, tem więcej się między przyjaciołmi rozżarza.“ Klejnoty, rozliczne kamienie osadzone w pierścieniu, miały każden swe pewne znaczenie, i mnożyły w rozliczny sposób przystósowania. D y a m e n t, między kamieńmi najdroższy i najmocniejszy, którego ani ogień ani młot skruszyć nie zdoła, był wyrazem statecznej przyjaźni, której równie żadna przygoda w świecie skruszyć i zniszczyć nie zdoła. R u b i n czerwonością swoją oznaczał przyjaźń, dla której się życia i krwi nie szczędzi. Niebieski s z a f i r był emblematem niezmienności i stałości. Podobnież miały swe znaczenie szmaragdy, jaspisy, turkusy i t. d. Oto jak się o tem wyraża autor staropolskiej spiżarni:

Dyament.

Piszą naturalistowie, że jako orzeł między ptastwem najzacniejszy, tak i kamień ten między inszemi najkosztowniejszy, najdroższy i namocniejszy; abowiem go ani ogień, ani najtęższy młot skruszyć nie może, (krwią jednak ciepłą kozłową tylko skruszony bywa). Miłość serdeczna i prawdziwa jest temu kamieniowi podobna, abowiem jej żadna największa przygoda i niebezpieczeństwo przekonać i przerwać nie może, — sama tylko śmierć za przejrzeniem Bożem oną między ludźmi nadwątla.

Piszą niektórzy że turecki cesarz dyament nakształt wielkości orzecha laskowego za 50 tysięcy kupił. Ma swoję moc ten kamień taką, którą jako klejnot ozdobić, tak i człowiek człowiekowi zaszkodzić może. Starzy rzymianie nim strzały swe przyprawiali pewnemi sposobami, także i insze broni, temi bowiem najmniej skrwawiony umrzeć musiał, a komukolwiek by go najmniejszą odrobinę zadał, umiera ponieważ przeciwko jemu niemasz pomocy. Miłość jest jemu i wtem podobna, abowiem niektórzy nią zranieni, jedni od rozumu odchodzą, drudzy umierają, drudzy dla jej w sercu swojem pokazania, różne rzeczy przez zdrowie ukochanego i ulubionego przyjaciela niezwyczajne jedząc abo pijąc, sami sobie są przyczyną śmierci.

P r z e s t r o g a. Piszą niektórzy że w moździerzu stalowym stłucz może dyament, że będzie jako mąka, czem Włoszy wiele ludzi trują; także napuszczają puginały, któremi gdy kogo przebiją, rany nie znać, krew nie wychodzi, a człowiek umiera nagle.

Rubin.

Ten kamień ma swoje przezwisko od czerwoności, która klejnoty niepoślednie zdobi; przyjaźń uprzejma, zawsze jasna się zbyt pokazuje, o ozdobie przyjaciela starać się bardzo przymusza, — jest także niepośledniej drogości, jako równie i przyjaźń, której ludzie zobopólnie żyjący nabywając, jedni dobra swoje utracają, inszy zaś i krwie nawet i zdrowia swego dla nabycia jej niej żałują.

Przestroga. Pisze historyk jeden niemiecki że w Berlinie w skarbie kościelnym taki rubin widział, który wszystkie skarby kościelne drogością przewyższał. Ten Carolus V sprawił był nakształt Talera szeroki, a Tonnę złota kosztował, i więcej według taxy inszych.

Szafir.

Naprzód ten kamień jest barwy niebieskiej, które od początku świata żadnej odmiany nie uczuło. Do tego na kształt złota kropki w sobie zamyka. Pochodzi z subtelnej i wypolerowanej ziemi a prawie krzyształowej. Także z żywego śrebra, siarki i soli, jako Teophrastus pisze. Ten kamień w zimnej wodzie zmaczany, oczy czerwone i krwią zaszłe, by tylko nim zmaczanym potarte były, uzdrawia. Próba jego bywa przez strzały, które jeśli wytrzyma, dobroć swoją pokazuje. Czystości także i nienaruszonej cnoty znakiem zawsze bywa. Podobna jest i temu szczera, niepochybna uprzejmość i serdeczna miłość, ta bowiem w sercu nieobłudnem, ale szczerem się zawsze rodzi, które zawsze jako jasny krzystał każdemu się pokazuje. Nie ma szczera miłość żadnego naruszenia, nie uczuwa skarzenia, nie uznawa zepsowania, jako i niebo, ta czyści y chędoży serce od wszelakich niechęci — nawet choćby też czasem rankorem zajątrzone było, przyjaźnią i szczerą miłością potarte, im dalej tem więcej się poleruje. Przyjaźń także i miłość serdeczna żadnemi rzeczy nie może być nakażona, zacz i dobrze i przystojnie w ten okrągły klejnot tak zacny kamień wsadzony i od tych którzy przyjaźń serdeczną przyjacielowi oświadczyć chcą, słusznie ofiarowany bywa.

Ten kamień dystylują albemistowie, a tak przedystylowany, na drżenie serca jest wielce pomocny.

Szmaragd.

Wdzięczna zielona farba kamienia tego jest przyjemna oczom ludzkim; wydająca z siebie jasność nakształt zwierciadła, tak że weń patrzący, tych którzykolwiek za nim cokolwiek czynią, obaczyć może. Gdy Nero okrutnik wojska swoje na placu miał, w pałacu siedząc a w szmaragd patrząc, owych wszystkich postępki widział.

Miłość serdeczna nigdy miłości swej zawsze kwitnącej nie traci, a jako niechęci w oczach ludzkich brzydkie są, tak chęć i serdeczna miłość wdzięczna zawsze jest w oczach ludzkich. etc.

Według tych przednich kamieni insze mogą być przyrównane według rozsądku tego, który rzecz odprawuje, także według różności czasów i osób a według zdania, miejsca, każdego.

Jaspisz.

Niepośledniej cnoty jest jaspisz między kamieńmi drogiemi. Zieloną barwą przyozdobiony, a na wejrzeniu wdzięczny, ten bowiem i żołądkowi słabemu ale też i serdecznej boleści wielką i znaczną pomoc przynosi i melankolią odpędza. Przeciwko ślakowi jest pewnem lekarstwem, jako o nim naturalistowie piszą. Nadto jest próbą szczęścia i nieszczęścia ludzkiego. Kiedy kogo jakie nieszczęście potkać ma, abo się rozpadnie, abo też z klejnotów który jest wsadzony wyskoczy. Czemuż by serdeczna miłość i szczera jemu być przyrównana nie miała? Ta abowiem też wszystkie skutki w sobie zawiera. Frasobliwym jest ten, który w stanie małżeńskim żyje; miłość prawdziwa małżeńska on frasunek odpędzić i znieść może. Jestli zaś jeden w stanie małżeńskim żyjący, bliski jakiego nieszczęścia, abo przypadku, serce przyjaciela jego miłującego i w zobopólnem małżeństwie żyjącego, prawie się rozpada. Na ostatek miłość jako jaspisz niejako przyjaciela ukochanego jest przestrogą od wszelakiego niebezpieczeństwa.

Kiedy kędy trucizna jest dla kogo zgotowana, jaspisz, jeśli tam jest na ten czas, abo się poci, abo się też rozpadnie. — Podagrykom i tym, którzy scyatykę miewają, wielką pomoc przynosi, o czem pisze Plinius w księgach 39 w Rozdziale 9.

Turkusz.

Kamyk ten acz jest nie wielki, skutki jednak bardzo wielkie z siebie wydaje. Drogością swoją niewiele inszym drogim kamieniom ustępując, choroby niebezpieczne wspomaga. Miłość u niektórych coś małego i podłego się być widzi, skutki jednak jej, jakby wielkie były, któż nie widzi? Ta człowieka zgubić i do ochoty snadnie przywieźć może, ta sprawuje że zdrowie jeden dla drugiego położyć jest gotów, ta wszystkie nieprzyjaźni tłumi i traci, ta wielom upadkom podporą bywa, — owo zgoła jej wszystkie skutki wypowiedzieć trudno.

Część wtóra dziełka zawiera: Mowy przy aktach pogrzebowych; na zakończenie zaś umieszczony jest wiersz:

Do zazdrośnika cudze prace szkalującego:

Zazdrośniku! co dawno ludzkie prace psujesz,
Jedne całkiem pożerasz, drugie przekąsujesz,
Kąsaj jak chcesz, wszystkiego wiem pewnie nie strawisz,
Rychlej się kiedykolwiek zazdrością udawisz,
Co gdy szczerzy obaczą, to wszyscy przyznają,
Że nigdy szkalownicy pociechy nie mają.

Rocznice historyczne.

6 lipca 1607 r. — Bitwa pod Guzowem.

Gdy ostatnie nadzieje uśmierzenia rokoszu łagodnemi środkami rozbiły się o wyniosły upor Zebrzydowskiego, padło Zygmuntowi III wziąć do rąk miecz, i nim przywrócić publiczny porządek w kraju. Jestto bardzo smutna chwila z przeszłości naszej. Niepohamowana wyniosłość i duma skaziły świetny ów klejnot szlachecki — wolność. Przepomniano przykład Arystydesa, obok którego nieraz godnie stawali wielcy bohaterowie naszego narodu. Uraza osobista wywołała haniebną demonstracyę, niepomnąc na dotkliwe następstwa dla ojczyzny. Jednakowoż tak król jak i przedniejsi senatorowie wahali się długo z użyciem ostatecznego środka. Dopiero uniwersał rokoszan wydany pod

Jezierną dnia 24 czerwca 1607 r. a ogłaszający detronizacyę Zygmunta III, zmusił do dobycia oręża tak nieżądnego bratniej krwi.

Licząc zaledwie 7000 wojska wyruszył król przeciw Rokoszanom. Dnia 5 lipca z południa spotkały się przednie straże niedaleko głównej kwatery Zebrzydowskiego, Orońska. Wkrótce sprawiły się szyki z obu stron. „Tak więc“ — opowiada Niemcewicz — „stanęły obydwa wojska, taż sama krew płynęła w obydwóch, i tu i tam powiewały też same Pogonie i Orły, jednaki szyk, jednaka zbroja, wspólna obudwom mowa. Myśl że za chwilę jednę te zbrojne hufce braterskie mieszać się, ścierać i śmierć sobie zadawać miały, czułą boleścią serca wszystkich przejęły. By odwrócić te mordy okropne, raz jeszcze Żółkiewski wysłał do Zebrzydowskiego, że jeśli podawaną sobie zgodą nie gardzi, może jeszcze krew polską oszczędzić. Za całą odpowiedź Zebrzydowski posłów do więzienia wtrącić rozkazał.“

Po takiej odpowiedzi pozostało jedynie dać hasło do boja. O 3000 żołnierza mniejsze od rokoszan liczbą wojsko królewskie stanęło w następującym szyku: Prawe skrzydło zasłonione niedostępnemi trzęsawiskami, zajmował hetman wielki litewski Karol Chodkiewicz z ośmią rotami jazdy kanclerza lit., wojewody wileńskiego i innych; na samym krańcu skrzydła stała artylerya pod zasłoną 1200 piechoty. Podobnie uszykowane było lewe skrzydło pod dowództwem Stanisława Żółkiewskiego. Pozbawione jednak zasłony bagien stawiło podwójną liczbę dział z 2400 piechoty i 16 hufców usarzy tak kwarcianych jako i pańskich. Były między nimi roty Żaboklickiego, Kazanowskiego, również i samego hetmana Żółkiewskiego. Środkiem zaś samym czyli czołem wojska dowodził starosta kamieniecki, Jan Potocki. Stały tu najprzedniejsze roty doświadczonego żołnierza, hufce wojewody ruskiego Gulskiego, marszałka koronnego, starosty zatorskiego, Kalinowskiego i Potockich. Opodal za szykiem bojowym stanął w odwodzie Zygmunt III. Straż osoby królewskiej miał sobie poruczoną Aleksander Koniecpolski na czele chorągwi usarskich i rot Stanisława Lubomirskiego starosty sandeckiego, tudzież Gostomskiego, Czarnkowskiego i innych. Z strony rokoszan stanął naprzeciw Chodkiewicza Janusz książe Radziwiłł, przeciw Żółkiewskiemu Piotr Łaszcz starosta lityński, środek złożony z dobornego żołnierza miał na czele samego Zebrzydowskiego wojewodę krakowskiego, a posiłkami dowodził Szczęsny Herburt.

Między wojskami rozlegała się równina niedawno porana. Na niej rozpoczęły się pojedyncze harce śród bicia z dział, które jednak niewiele szkody wyrządzały. W tem zwarły się wojska. Po dłuższym oporze przełamał Radziwiłł jazdę Chodkiewicza, a doborowe rycerstwo Radziwiłłowskie zwane elierami, przedarło się aż do namiotu królewskiego. Wkrótce jednak sprawił Chodkiewicz napowrót swoje szyki i odparł nieprzyjaciół. Wprawdzie przestraszone chorągwie usarskie wahały się z powrotem, gdy Pstrokoński kanclerz i biskup przemyski puścił się za pierzchającemi, i wydarłszy chorążemu chorągiew oddał ją siostrzeńcowi swemu Albertowi Starzyńskiemu z słowami: „Nie ta droga dla Orła Polskiego, obróć go i nieś tam gdzie nieprzyjaciel.“ Powróciło więc zawstydzone rycerstwo właśnie w chwili, gdy Żółkiewski zwyciężał roty Łaszcza. Łaszcz widząc przełamane swoje szyki, zwątpił zupełnie o pomyślnym losie walki i klasnąwszy w ręce zawołał rozpaczliwym głosem: „zginęliśmy“. Toż wnet poszli mnodzy za jego przykładem, i uciekając spiesznie rozszerzyli srogi popłoch między rokoszanami. Pod kopytami końskiemi wzrosła ogromna kurzawa, a wiatr silny miotał nią w oczy rokoszanom i udaremniał najwaleczniejsze wysilenia Zebrzydowskiego. Zaledwie po hasłach zdołało się rozpoznawać rycerstwo owite tumanami kurzu. Wkrótce poszli rokoszanie w zupełną rozsypkę.

A gdy spadły rozburzone tumany kurzawy, oświeciły promienie słoneczne nader tragiczne pobojowisko. Zajmowało je teraz przeszło tysiąc bratnich trupów z bratniej poległych ręki. A śród tego tysiąca znajdowała się kilkakroć liczniejsza mnogość rokoszanów. Bolejący król zakazał dalszego ścigania, owszem zalecał litość swojemu wojsku. I wnet przyprowadzono mu wiele broni zdobycznej, wiele sztandarów, i pod nogi królewskie złożono bogatą chorągiew rokoszanów z napisem: „Aurea libertas“.

B. K.

Różności.

Koncert pana Antoniego Zamary został odegrany zeszłej niedzieli w sali Towarzystwa muzycznego. Z wielką przyjemnością wysłuchaliśmy wszystkich trzech kawałków, odegranych przez koncercistę. Pierwszy *Souvenir de Bellini* kompozycya koncercisty z towarzyszeniem pana Langa na fortepianie, drugi *La danse des Sylphes* przez Godefroid, wreszcie ostatni najpiękniejszy, także kompozycya koncercisty *Duo concertant* wykonany przez pana Zamarę i ukochanego naszego Karola Mikulego. Gra pana Zamary jest bardzo piękna, pewna i płynna. Przy doskonałej technice łączy on w grze swojej uczucie i siłę; a choć gra sama nie wywołuje wrażenia spodziewanego od tak znakomitego artysty, jest to winą instrumentu, nie jego; zawsze jednak odzywa się godnie pod jego palcami ów historyczny instrument, harfa, nierozerwanym węzłem związana z owem podnioślejszem życiem rycerskiem dawnych wieków. Wszak samo jej imię rozbudza długie pasmo historycznych pamiątek. I na myśl nam przychodzi owa wspaniała staroświecka komnata, a w niej grono żelaznych rycerzy, pełnych poezyi, bo na głos harfy płoną ich oczy jakimś dziwnym blaskiem, a silne dłonie ściskają rękojeści szerokich mieczów, i zda się demoniczna jakaś siła ogarnia ich istotę. Idźmy dalej. Wszakci to instrument wielkiego psalmisty Pana, króla Dawida. Jego to pamiątka jeszcze z czasów pacholęcych, gdy wtórował smętnym swym marzeniom biedny, prześladowany od złego ducha królewskiego. I tam obudza się jakaś pamiątka nasza, bo kto tylko cierpiał, to nasz brat. — Ten historyczny instrument spadł dzisiaj do bardzo nizkich posług i znaczenia. *Tempora mutantur et nos mutamur in iis.* Toż wdzięczni jesteśmy panu Zamarze za jego piękną grę, która prócz artystycznej wartości ma dla nas jeszcze drugie znaczenie, jako historyczne przypomnienie. Żałujemy, że co do spiewu, byliśmy mocno rozczarowani. Zamiast pana Miłaszewskiego, który nam niedawno piosnkę Bohdana Zaleskiego tak prześlicznie wyśpiewał, usłyszeliśmy spiew niemiecki, który nam Dawida z marzeń naszych wypłoszył. Jakoś nie kwadrował on do harfy, ani do Halbana, którego postać mimowolnie cisnęła nam się przed oczy wraz z psalmistą....

Pan Zamara dał już u nas kilka koncertów wspólnie z pp. de Lange. Gra obu pp. de Lange jest znakomitą. Żałować tylko należy, że publiczność tak mało udziału bierze w tych koncertach.

Sprostowanie. W numerze 17. na stronnicy 27[illegible] 270 w tytule zamiast Stanisława, powinno być Władysława Zawadzkiego.

Wydawcy i odpowiedzialni Redaktorowie: *Jan Zacharjasiewicz, Alexander Szedler.* **Z drukarni E. Winiarza.**